

# Teksty źródłowe

Notatka wraz z pismem przewodnim SS-Sturmbannführera Rolfa-Heinza Höppnera do Adolfa Eichmanna w sprawie rozwiązania „kwestii żydowskiej” (Poznań, 16 lipca 1941 roku)	3	Przemówienie Chaima Rumkowskiego o konieczności wykonania nakazu „przesiedlenia” 20 tysięcy dzieci i starców, wygłoszone do mieszkańców getta łódzkiego 4 września 1942 roku	22
Raport pt. „Die Vorfälle in Kulmhof” [„Wydarzenia w Chełmnie”], dotyczący masowej zagłady w drugiej połowie grudnia 1941 i styczniu 1942 roku, sporządzony w warszawskim getcie po styczniu 1942 roku	5	Arnold Mostowicz, Raport w sprawie Cyganów	24
Raport pt. „Die Vorfälle in Kulmhof” [„Wydarzenia w Chełmnie”], dotyczący masowej zagłady w drugiej połowie grudnia 1941 i styczniu 1942 roku, sporządzony w warszawskim getcie po styczniu 1942 roku (cd.)	7	Fragment Dziennika Dawida Sierakowiaka z 5 września 1942 roku, dotyczący wydarzeń Wielkiej Szpery w getcie łódzkim	26
UWAGA!!! (Fragment notatnika zawierającego zapiski ostatnich więźniów ośrodka zagłady w Chełmnie, nazwanego „Testamentem ostatnich więźniów” (lipiec 1944 – styczeń 1945 roku)	9	Felieton Oskara Singera o wydarzeniach Wielkiej Szpery (16 września 1942 roku)	28
Sytuacja w getcie łódzkim w czerwcu 1944 roku	11	Pierwsze deportacje z getta w Łodzi do obozu zagłady Kulmhof (20 grudnia 1941 roku)	31
Świadcstwo Izraela Zygelmanna, jednego z ostatnich więźniów obozu zagłady Kulmhof	12	Obwieszczenie Przełożonego Starszeństwa Żydów w getcie łódzkim o konieczności bezwzględnego wykonania nakazu stawienia się w wyznaczonym terminie i miejscu celem przesiedlenia	33
Sytuacja przed ostateczną likwidacją getta łódzkiego 14 lipca 1944 roku	14	Odezwa do naszego przyszłego narodu (1 grudnia 1944 roku)	34
Opis wydarzeń Wielkiej Szpery w Litzmannstadt Getto	16	Świadcstwo Jakuba Grojnowskiego, przymusowego grabarza z Chełmna, złożone w warszawskim getcie w 1942 roku	35
Deportacje pacjentów szpitali z terenu getta łódzkiego do obozu zagłady Kulmhof podczas Wielkiej Szpery	18	Fragment pamiętnika niemieckiego nadleśniczego Heinza Maya, świadka eksterminacji Żydów w obozie zagłady Kulmhof	39
Obwieszczenie Przełożonego Starszeństwa Żydów w getcie łódzkim Mordechaja Chaima Rumkowskiego o zakazie wychodzenia z domu	20	Relacja o wysiedleniach z Koła na przełomie 1941 i 1942 roku, złożona w warszawskim getcie w styczniu – lutym 1942 roku przez byłego mieszkańca Kłodawy	42
		Informacja na temat deportacji Żydów do Chełmna nad Nerem, spisana w 1945 roku na podstawie ustnej relacji Juliana Ostrowskiego, kolejarza z Kutna	44

Relacja Wołkowicza, mieszkańca Dąbia nad Nerem, dotycząca sytuacji ludności żydowskiej miasta od września 1939 do wysiedlenia do obozu zagłady w Chełmnie w grudniu 1941 roku, złożona w warszawskim getcie po 26 stycznia 1942 roku	45	List sióstr Rozy i Lusi do ojca Abrama Gipsa w getcie warszawskim o zbliżającej się zagładzie, napisany 3 marca 1942 roku w getcie w Gąbinie	61
Relacja Jakuba Waldmana o wydarzeniach w Uniejowie w 1941 roku oraz w getcie Czachulec w 1942 roku, złożona 23 marca 1945 roku w Turku	46	Listy sióstr Rozy i Lusi z Gąbina do ojca Abrama Gipsa w getcie warszawskim o zapłaceniu podatku deportacyjnego, napisany 28 lutego 1942 roku w getcie w Gąbinie	63
Wspomnienie Jehoszui Eibeshitza z pobytu w getcie wiejskim Czachulec	49	List Róży Kapłan do męża Szmuela w getcie warszawskim o transportach Żydów łódzkich do Chełmna nad Nerem, napisany 22 stycznia 1942 roku w getcie w Krośniewicach	65
Wspomnienie Jehoszui Eibeshitza o przygotowywaniu list transportowych w getcie wiejskim Czachulec	51	List rodziny Gelbartów do Rywena Gelbarta w getcie warszawskim o mordowaniu Żydów w ośrodku zagłady w Chełmnie nad Nerem, napisany w styczniu 1942 roku w nieustalonej miejscowości (prawdopodobnie w GG)	66
Zofia Nałkowska, Człowiek jest mocny	53	List rabina Jakuba Szulmana do krewnych w getcie warszawskim, donoszący o masowym mordowaniu Żydów, napisany 21 stycznia 1942 roku w getcie w Grabowie	67
List Szlamy Winera z getta w Zamościu do Hersza Wassera z getta w Warszawie w sprawie ośrodka zagłady w Bełżcu	56	Relacja Salomona Podchlebnika	68
List Abrama Bajlera do Hersza Wassera w getcie warszawskim o stracie matki i wuja Szlamka w akcji likwidacyjnej, napisany 24 kwietnia 1942 roku w getcie w Zamościu	57	Fragment zeznania Andrzeja Miszczaka, które zostało złożone 14 czerwca 1945 roku przed Sądem Okręgowym w Łodzi, w śledztwie prowadzonym przez sędziego Władysława Bednarza	70
List Edy Kadysz, jej matki i Ity Aronowicz do M. Kadysz w getcie warszawskim o zbliżającej się zagładzie, napisany 13 marca 1942 roku w getcie w Ozorkowie	58	Protokół z rozkopania terenu za spichlerzem, w ramach czynności śledztwa prowadzonego w sprawie zbrodni popełnionych w ośrodku zagłady w Chełmnie (po wrześniu 1942)	71
List Feli do rodziny w getcie warszawskim o zagładzie Żydów w Chełmnie nad Nerem, napisany 27 stycznia 1942 roku w getcie w Kutnie	59		
List Hindy do Szlamka w getcie warszawskim o poszukiwaniu przez policję niemiecką zbiegów z Chełmna, zagładzie rodziny i pogłównym podatku deportacyjnym, napisany 20 lutego 1942 roku w getcie w Radziejowie Kujawskim	60		

## ***Notatka wraz z pismem przewodnim SS-Sturmbannführera Rolfa-Heinza Höppnera<sup>1</sup> do Adolfa Eichmanna<sup>2</sup> w sprawie rozwiązania „kwestii żydowskiej” (Poznań, 16 lipca 1941 roku)***

Do  
Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy  
Urząd IV B 4  
Na ręce SS-Obersturmbannführera Eichmanna  
Berlin

Kochany kolego Eichmann!

W załączeniu przesyłam notatkę urzędową, w której zawarte są różne rozmowy z tutejszego urzędu Namiestnictwa Rzeszy. Byłbym Panu wdzięczny za zajęcie przy tej okazji stanowiska. Rzeczy te brzmią częściowo fantastycznie, jednak według mego zdania nadawałyby się całkowicie do przeprowadzenia.

SS-Sturmbannführer

Notatka urzędowa

Dot.: Rozwiązanie kwestii żydowskiej

Podczas rozmów w urzędzie Namiestnictwa Rzeszy, poruszano ze strony różnych urzędów zagadnienie rozwiązania kwestii żydowskiej w Okręgu Rzeszy Kraj Warty. Proponuje się tam następujące rozwiązanie:

---

<sup>1</sup> Rolf-Heinz Höppner był kierownikiem jednostki SD w Poznaniu.

<sup>2</sup> Adolf Eichmann (1906–1962) – członek SS, wysoki urzędnik państwowy, kierownik referatu spraw żydowskich w RSHA. Odpowiedzialny za realizację „ostatecznego rozwiązania”. W styczniu 1942 r. zorganizował konferencję w Wannsee pod Berlinem, na której Reinhard Heinrich oficjalnie powierzył mu sprawę „ostatecznego rozwiązania”.

1. Wszyscy Żydzi z Okręgu Warty zostaną zabrani do obozu dla 300 000 Żydów, który zostanie założony w formie baraków możliwie najbliższej magistrali węglowej i w którym znajdują pomieszczenia barakowe urzędowania dla zakładów gospodarczych, krawieckich, szewskich itp.
2. W tym obozie zostaną umieszczeni wszyscy Żydzi z Okręgu Warty. Zdolni do pracy Żydzi mogą być stosownie do potrzeb grupowani w kolumny robocze i zabierani z obozu.
3. Tego rodzaju obóz, według zdania SS-Brigadenführera Alberta, można będzie dozorować znacznie mniejszymi siłami, aniżeli ma to dotychczas miejsce. Poza tym niebezpieczeństwo zarazy, które jeszcze istnieje dla okolicznej ludności w Łodzi i w innych gettach może być ograniczone do minimum.
4. Istnieje niebezpieczeństwo, że tej zimy nie będzie można wyżywić wszystkich Żydów. Należy poważnie zastanowić się, czy nie byłoby najbardziej humanitarnym rozwiązaniem, aby Żydów, jeśli są niezdolni do pracy, wykończyć jakimś szybko działającym środkiem. W każdym razie byłoby to o wiele przyjemniejsze, aniżeli pozwolić im zginąć z głodu.
5. Poza tym wysunięto propozycję sterylizowania w tym obozie wszystkich Żydówek, od których można jeszcze oczekiwać dzieci, aby przez to faktycznie z tą generacją problem żydowski został rozwiązany bez reszty.

Namiestnik Rzeszy dotychczas jeszcze nie wypowiedział się w tej sprawie. Odnosi się wrażenie, że Prezes Rejencji [łódzkiej] Übenhör nie życzy sobie, aby zginęło getto w Łodzi, ponieważ wydaje się całkiem dobrze na nim zarabia. Jako przykład, jak można na Żydach zarabiać podano mi, że Ministerstwo Pracy Rzeszy płaci ze specjalnego konta za każdego skierowanego do pracy Żyda 6 RM, ale Żyd kosztuje tylko 80 fenigów.

SS-Sturmbannführer

[podpis]

*Wybór źródeł do nauczania o Zagładzie Żydów, wybór i oprac. pod kier. Aliny Skibińskiej i Roberta Szuchty, Warszawa 2010, s. 216–217.*

## ***Raport pt. „Die Vorfälle in Kulmhof” [„Wydarzenia w Chełmnie”], dotyczący masowej zagłady w drugiej połowie grudnia 1941 i styczniu 1942 roku, sporządzony w warszawskim getcie po styczniu 1942 roku***

### ***Wydarzenia w Chełmnie nad Nerem<sup>3</sup>***

W drugiej połowie grudnia 1941 r. i w styczniu 1942 r. we wsi Chełmno (Kulmhof), powiat kolski (Kreis Warthebrücken), rozegrały się wydarzenia przekraczające ludzkie zdolności pojmowania pod względem okrucieństwa i barbarzyństwa.

W ciągu około czterech tygodni przed tzw. wysiedleniem z istniejących gmin żydowskich władze niemieckie nałożyły na całą ludność żydowską podatek pogłówny w wysokości 4 RM. Ponadto wszyscy Żydzi (mężczyźni w wieku 14–60 lat i kobiety do 50 lat) zostali poddani badaniom lekarskim w celu ustalenia, czy są zdolni do pracy, tzn. czy nadają się do pracy fizycznej. Te działania poważnie zaniepokoiły Rady Żydowskie, ale wszystkie próby ustalenia faktycznego sensu tych zarządzeń spaliły na panewce. Co prawda, taki czy inny niemiecki urzędnik bądź esesman zapewniali, że wszyscy Żydzi z Kraju Warty (Warthegau) zostaną wysiedleni do Pińska, Galicji (Galizien) albo w jakieś jeszcze inne miejsce. Informacje te były jednak wyrazem subiektywnych opinii informatorów i nie wynikały z jakichkolwiek faktów. Nie wierzono w nie, uważając, że po dwóch latach istnienia Kraju Warty i ograniczeniu do minimum skupisk żydowskich nikt nie będzie rozważał takiej możliwości. Ponadto ciężkie warunki życiowe Żydów w Kraju Warty i brak jakichkolwiek kontaktów z niemieckimi ośrodkami decyzyjnymi powodowały, że wszelkie usiłowania okazały się bezskuteczne.

Żydzi z powiatu kolskiego wiedzieli tylko o wysiedleniu Żydów z Zagórowa (Hintenberg) w październiku 1941 r., co odbyło się w tajemnicy. W Zagórowie zebrano całą ludność żydowską powiatu konińskiego (Kreis Konin) w liczbie 3 tys. osób. Działania urzędowe przed wysiedleniem były realizowane także w Zagórowie. Żydzi uiścili podatek pogłówny w wysokości 4 RM i zostali poddani badaniu lekarskiemu. Po pewnym czasie rozpoczęło się wysiedlanie. Żydzi zostali wywiezieni ciężarówkami w grupach liczących po 60 ludzi, przy czym każdy mógł zabrać ze sobą 1-kilogramową paczkę. Podróż zakończyła się w lasach kazimierzowskich (Kasimir-Walder) w okolicy Zagórowa. Tam wszyscy wysiedli i poszli do lasu. Nic więcej o nich nie słyszano. Ani posłańcy, ani też listy wysyłane do wszystkich miejsc w Rzeszy i Generalnym Gubernatorstwie nie przyniosły niczego nowego. Knieje lasów kazimierzowskich kryją w sobie zagadkę wysiedlonych Żydów zagórowskich.

---

<sup>3</sup> Raport został napisany głównie na podstawie relacji złożonej przez Jakuba Grojnowskiego (fałszywe nazwisko Szlamy Winera, uciekiniera z obozu zagłady Kulmhof) w Konspiracyjnym Archiwum Getta Warszawy, tzw. Archiwum Emanuela Ringelbluma.

W połowie grudnia 1941 r. cała żydowska ludność z Koła (2 tys. osób) i Dąbia nad Nerem (1 tys. osób) została zabrana do Chełmna. Wsydlenie obejmowało dosłownie wszystkich Żydów. Niemowlęta, dzieci, starcy, chorzy i wszystkie inne osoby, wraz z całym dobytkiem, zostały w grupach po 60 osób załadowane na samochody ciężarowe i wywiezione do Chełmna. Chełmno jest wsią odległą o 12 km od Koła, leżącą przy drodze z Koła do Dąbia nad Nerem.

Władze niemieckie rozpowszechniły fałszywą pogłoskę, że Chełmno stanie się wyłącznym żydowskim miejscem osiedlania w powiecie kolskim. Dzięki produktywnej pracy Żydzi będą tam mieli zapewnione środki do życia.

Los Żydów z Koła i Dąbia nad Nerem (Dombje am Ner) żywo interesował członków pozostałych gmin powiatu kolskiego. Żydzi z Kłodawy (1200 żydowskich mieszkańców), Izbicy Kuj[awskiej] (1300 żydowskich mieszkańców), Bugaju (Bugitten) (800 mieszkańców) i Sompolna (1000 [mieszkańców]), trafnie sądzili, że czeka ich ten sam los. Aby dokładnie poznać warunki życia w Chełmnie, wszystkie gminy wysłały tam polskich i niemieckich wysłanników. Mieli oni dostarczyć konkretnych informacji o Chełmnie. Wszystkie uzyskane informacje pokrywały się ze sobą: Żydzi zostali umieszczeni w chełmińskim pałacu, z którego już nie powrócili. Do pałacu nie kierowano żadnych środków żywnościowych. Okoliczni chłopcy często widzieli szary samochód ciężarowy, który kilkakrotnie w ciągu dnia kierował się do pałacu, a potem wracał, jadąc w kierunku lasów lubardzkich (Lubrodzer Walder). Uważali oni, że Żydzi zostali zagazowani. Nie wierzono w to i traktowano te informacje jako produkt chłopskiej wyobraźni. Życie płynęło dalej. Panował jednak nastrój przygnębienia – atmosfera gęstniała.

*Archiwum Ringelbluma, t. 13: Ostatnim etapem przesiedlenia jest śmierć. Pomiechówek, Chełmno nad Nerem, Treblinka, oprac. Ewa Wiatr, Barbara Engelking, Alina Skibińska, Warszawa 2013, s. 114–115.*

## ***Raport pt. „Die Vorfälle in Kulmhof” [„Wydarzenia w Chełmnie”], dotyczący masowej zagłady w drugiej połowie grudnia 1941 i styczniu 1942 roku, sporządzony w warszawskim getcie po styczniu 1942 roku (cd.)***

### ***Wydarzenia w Chełmnie nad Nerem<sup>4</sup>***

Grabarze zostali umieszczeni na zamku w dwóch sąsiadujących ze sobą piwnicach. Dzień rozpoczynali o 7 rano. Cywilny kucharz niemiecki przynosił im wiadro ze śniadaniem. Składało się ono z gorzkiej, mętnej, czarnej kawy i suchego chleba, pochodzącego z bagażu żydowskich ofiar. Po śniadaniu pełniący służbę żandarm meldował się u oficera SS. Następnie otwierał potrójnie zamknięte drzwi i padał rozkaz: „Żydzi, wyjść!” Nigdy nie zdarzyło się, żeby oficer SS zszedł do piwnicy, gdyż bał się on zrozpaczonych i zdesperowanych grabarzy, pełnych nienawiści do katów. Przy opuszczaniu piwnicy grabarze byli wielokrotnie liczeni. Każdą grupę prowadzono na dziedziniec. Tam znajdowała się 20-osobowa straż żandarmerii polowej, z karabinami maszynowymi skierowanymi na zgromadzonych. Po ponownym przeliczeniu grabarzy umieszczano ich w samochodach. Dwa samochody, jedna ciężarówka i jeden autobus, zawoziły ich na miejsce egzekucji. Za samochodami jechała limuzyna z umundurowanymi i nieumundurowanymi gestapowcami.

Podczas krótkich dni styczniowych, kiedy wyjeżdżano o 8 rano, było jeszcze ciemno, tak że nie spotykano nikogo obcego.

Praca na miejscu egzekucji rozpoczynała się około 8.30 rano i trwała do południa, tzn. do 12.30. Padał rozkaz: „Zostawić szpadle!” Grabarze opuszczali wykop eskortowani przez esesmanów i żandarmów, udawali się na miejsce, gdzie znajdowało się ich ubranie. Tam nakazywano im ściśnięcie się i siedzenie na bagażu. Obiad ponownie składał się z gorzkiej, zimnej, czarnej kawy i twardego, zamrożonego chleba.

Ośmiu grabarzom, zajmującym się bezpośrednio trupami, nie wolno było opuszczać grobu. Tam dostarczano im kawę bez chleba. Przed zakończeniem dnia roboczego nakazywano im położyć się w grobie, twarzami zwróconymi do trupów, i rozwalano im głowy serią z karabinu maszynowego. Pozostali przysypywali grób i w największym pośpiechu, pod eskortą żandarmów, udawali się na plac zbiórki. Wielokrotnie kontrolowano ich liczebność. Po padnięciu rozkazu: „Żydzi, ubierać się!”, wszyscy się ubierali. Dzień roboczy zasadniczo kończył się o godz. 17. Zdarzały się jednak dni, szczególnie przy egzekucji Żydów łódzkich, że pracowano przy świetle reflektora aż do późnego wieczora.

---

<sup>4</sup> Teksty napisany głównie na podstawie relacji Jakuba Grojnowskiego (fałszywe nazwisko Szlamy Winera, uciekiniera z obozu zagłady Kulmhof).

Podczas pracy w grobie grabarze często odmawiali modlitwę za umarłych. Tzw. Kadisz. Robotnicy często musieli patrzeć, jak ich najbliżsi krewni byli wrzucani do grobu. [...]

W piwnicy pałacowej było ciemno i zimno. Na ziemi leżały w nieładzie paczki z ubraniami grabarzy. Ściany były pokryte lodem. W kącie płonąła mała lampka gazowa. W drugim kącie stał kubek na nieczystości.

Nerwy żyjących jeszcze ofiar były w stanie takiego napięcia, że płacz dorosłych mężczyzn był tam normalnym zjawiskiem. Jednych podtrzymywał jeszcze [przy życiu] instynkt samozachowawczy, inni całkowicie poddawali się rozpacz i popełniali samobójstwo. Ale nad wszystko każdy z nich pragnął wydostać się z pułapki, tak aby o straszliwych wydarzeniach w chełmińskim lesie zaalarmować istniejące jeszcze gminy żydowskie i cały świat.

*Archiwum Ringelbluma, t. 13: Ostatnim etapem przesiedlenia jest śmierć. Pomiechówek, Chełmno nad Nerem, Treblinka, oprac. Ewa Wiatr, Barbara Engelking, Alina Skibińska, Warszawa 2013, s. 119–120.*



## ***UWAGA!!! (Fragment notatnika zawierającego zapiski ostatnich więźniów ośrodka zagłady w Chełmnie, nazwanego „Testamentem ostatnich więźniów” (lipiec 1944 – styczeń 1945 roku)***

### **UWAGA!!!**

Szczęśliwy człowiek, który znajdzie ten notesik. Prosimy ciebie uważnie go przeczytać i podać to wszystko do ogólnej wiadomości, a także zawiadomić o tym wszystkich pozostałych przy życiu członków rodziny, znajdujących się poza [za granicą] tą straszną tragedią!!!

15 września 1944 r. otrzymano rozkaz od Biebowa, naczelnika getta w m. Łódź o odjeździe dwóch krawców – majstrów, a mianowicie Mordkowicza Abrama i Oberferszta Berka. Z nimi, jak mówiło się, na 8 dni powinno wyjechać jeszcze 4 krawców: Mordchowicz Luzer, Micenmacher Abram, Wajnblum Szaja i Oberferszt Noah.

Pojechaliśmy samochodem z [zapis nieczytelny] Łągiewnicka 5 do „Schneider – Ressor” Łągiewnicka 36 i tam do nas do samochodu posadzano rodzinę lekarza Mendelсона. Składała się ona z 5 osób: męża, żony i 3 dzieci. Z Rynku Bałuckiego ulicą Limanowskiego jechaliśmy w kierunku Aleksandrowa. Za nami siedzieli 2 żandarmi. I tak jechaliśmy 3 godziny w tej ciężarówce z zakrytą skrzynią, nie wiedząc dokąd i w jakim kierunku jedziemy. W końcu zatrzymaliśmy się. Otwiera się skrzynia i do samochodu podchodzi człowiek z brygady SS z twarzą mordercy i krzyczy: „Wszyscy krawcy schodźcie i tylko rodzina Mendelson zostaje”. Rozkaz – to rozkaz i my wszyscy schodzimy z samochodu, zabierając ze sobą maszyny do szycia. Rodzina Mendelson zostaje w aucie i jedzie dalej w kierunku lasu. My wszyscy, tj. 6 osób i niemiecki naczelnik weszliśmy przez bramę na podwórze i tutaj sami nie mogliśmy uwierzyć swoim oczom: to cywilizowani ludzie czy dzikusy? Podchodzimy bliżej i wszystko staje się jasne. To zwykli ludzie zakuci w kajdany noszą paczki i inne rzeczy. Zatrzymaliśmy się na kilka minut. Tenże naczelnik nakazuje nam wyłożyć wszystko z kieszeni i zostawić tylko chustki do nosa. Jeśli ktoś był dobrze ubrany, to musiał zdjąć dobrą odzież i założyć starą, podartą. Potem, co najważniejsze, założyli nam kajdany na nogi i wystąpił z mową naczelnik, który powiedział, że tutaj jest obóz pracy i każdy, kto nie będzie pracować albo będzie uchylał się od pracy, będzie rozstrzelany. Każde słowo wypowiedziane przez tego naczelnika przeszywało nam piersi jak prawdziwa kula. Mówił, że musimy pracować, żeby pomóc Niemcom wygrać wojnę, bo to my Żydzi chcieliśmy wojny i przedstawie sobie nasze uczucia: wokół nas wszystkie te trupie głowy i policyjna obstawa, która nas pilnowała. Po tej całej ceremonii wprowadzili nas do pokoju położonego na parterze maleńkiego domku z maleńkimi, zasłoniętymi okienkami bez światła i bez klucza w drzwiach i zamknęli drzwi z zewnątrz na zasuwę. W tym pokoju było 8 krawców, 5 szewców, 1 kamasznik, 2 stolarzy i 4 chłopaków pracujących w kuchni. Ci starzy mieszkańcy pokoju zaprosili nas, żebyśmy się rozmieścili, radzili nie denerwować się, ugościli nas jedzeniem i powiedzieli, że musimy mieć stalowe serca, że wszystko na co będziemy patrzeć, wszystko co usłyszymy jest tylko snem, a nie rzeczywistością. Wypytywali, co słychać w getcie, jak

żyją ich rodziny, dokąd wysyłają ludzi z getta. Po kilku minutach rozmowy dowiedzieliśmy się, w jakim obozie jesteśmy i że ludzie, których kilka tygodni temu z getta m. Łódź wysłali niby na roboty do Lipska i Monachium, byli przysłani do tego obozu. Tutejsza miejscowość nazywa się Kulmhof. [...] Okna naszego pokoju wychodziły na podwórze, skąd można było widzieć szosę, kościół i wszystkie transporty, które do nas przybywały. Samochody z odebranych bagażem zajeżdżały do nas do obozu i specjalnie wydzieleni żydowski pracownicy przeglądali całą jego zawartość, sortowali wszystkie rzeczy grupami i często zdarzało się tak, że taki pracownik znajdował plecak swojego ojca, matki, brata, siostry lub krewnych. No ale co mogliśmy zrobić? Byliśmy słabi, otoczeni drutem kolczastym, a wokół nas pełno łuf i karabinów maszynowych. Nikt nie może sobie wyobrazić naszych męczarni!! Gdyby człowiek z zagranicy mógł nas zobaczyć, to on, na pewno powiedziałby, że takich ludzi, jak my, jeszcze nie widział, że jesteśmy ludźmi o stalowych nerwach: własnoręcznie wrzucamy do rozpalonego pieca naszych ojców, matki, siostry, nasze własne dzieci, wyrwane z naszego serca, nasze drogie żony, i na to wszystko patrzymy tak obojętnie, jakby to wszystko nas nie dotyczyło. Cóż można o nas powiedzieć? Cały czas zadajemy sobie to pytanie, ale nie znajdujemy odpowiedzi.

Po dwóch godzinach przyjeżdża ten samochód, który nas przywiózł, wyładowują z niego rzeczy. Robotnicy nam mówią, że to rzeczy rodziny Mendelson. Ta wiadomość tak nas oszałamia, że długo nie mogliśmy przyjść do siebie. Przyszła noc. Naszym łóżkiem okazała się podłoga. Pod siebie podkładamy koc, którym się też przykrywamy. O 6 rano pobudka i śniadanie. O 7 już pracujemy przy krawiectwie, pozostali towarzysze przy innych pracach, a część tzw. „Waldkommando” wyjeżdża do lasu, gdzie przygotowuje drwa do pieców, w których palą ludzi.

31 sierpnia w środku dnia przyjechała ciężarówka z ludźmi. Nie wiedzieliśmy, co to za ludzie. Po małej przerwie wszystkich ich wywieźli do lasu i dopiero po powrocie tego samochodu z rzeczami, dowiedzieliśmy się, że były to nasze dzieci i żony. Wyobraźcie sobie tę tragedię!! Datę 1 września, kiedy spalili naszą rodzinę, będziemy pamiętać całe życie. Nasz czeka taki sam los, ale kiedy przyjdzie ta straszna chwila – nie wiemy. Żyjemy nadzieją, że Bóg pozwoli nam doczekać czasów, kiedy będziemy mogli zemścić się za wszystkich naszych bliskich, wyrwanych z naszych serc. Prosimy wszystkich, aby pomścili nas, ponieważ my teraz nic nie możemy zrobić i czekamy wyzwolenia.

*Mówią świadkowie Chełmna*, red. Łucja Pawlicka-Nowak, Łódź – Konin 2004, s. 68–70.

## ***Sytuacja w getcie łódzkim w czerwcu 1944 roku***

„Biuletyn Kroniki Codziennej” z czerwca 1944 r.  
Sprawozdanie dzienne z poniedziałku, 26 czerwca 1944 r., „Kronika Codzienna” nr 177

### ***Małe zwierciadło getta***

Ostatni etap. Po czterech latach getta okazało się, że sentymenty, przywiązanie do tradycji są tylko kajdanami dla tego, kto chce przeżyć wojnę, być wybawionym. Zerwać wszystkie powiązania, bez jednej łzy oddać dom, do którego się przywykło, zostawić z trudem zdobyte gospodarstwo domowe – to hasło wszystkich mieszkańców getta, którzy otrzymali „wezwanie do wyjazdu”.

Pieniądze, biżuteria, futra, maszyny do szycia, gramofony, instrumenty muzyczne, znaczki pocztowe, sportowe buty, rowery, żelazka, elektryczne aparaty do gotowania, dywany, kryształy zostały już zarekwirowane. A teraz mówi się, że trzeba oddać ostatnią rzecz.

Na podwórzu domu przy Kirchplatz 4, przed magazynami Centralnego Punktu Skupu, leżą zapakowane w bele poduszki i kołdry, kolorowa pościel, kubły, naczynia, bielizna piętrzy się wokół stołu urzędników, których zadaniem jest wycena tych sprzętów gospodarstwa domowego i wypłacenie honorarium. Ci, którzy są gotowi do wyjazdu, przynoszą swój dobytek do Centralnego Punktu Skupu, aby za dochód zakupić trochę żywności na drogę – kilka deko cukru lub chleba czy jakiejś „kolonialki”. Na podstawie wyceny otrzymują bon na marki gettowe i marki Rzeszy. Marki gettowe wręczane są im w Kasie Głównej, marki Rzeszy w Centralnym Więzieniu.

I tak ludzie żegnają się z ostatnim kawałkiem swego ruchomego majątku. Nikt nie roni łez, nie pada żadne złe słowo. Fatalizm opanował mających wyjechać ludzi. Myślą – ostatni etap. Teraz nie można nam już nic więcej zabrać. Jesteśmy tak biedni, jak nas stworzył Bóg. Ubranie na ciele i kilka rzeczy na ostatnią potrzebę – to wystarczy do tego czasu. Do tego czasu, to znaczy do tej chwili, kiedy los rozstrzygnie o życiu i śmierci.

O.R.

*Kronika getta łódzkiego/Litzmannstadt Getto 1941–1944, t. IV: 1944, oprac. i red. nauk. Julian Baranowski [i in.], Łódź 2009, s. 390.*

## ***Świadectwo Izraela Zygelmiana, jednego z ostatnich więźniów obozu zagłady Kulmhof<sup>5</sup>***

To pisze Zygelman Izrael, zamieszkały w Łodzi przy ul. Wolgańskiej 159, a potem w getcie przy ul. Wróbla 13. Historia moja taka.

W lutym 1940 r. mnie z żoną, 2 dzieci i teściem osiedlili w getcie. Moich rodziców przesiedlili ze Rzgowa koło Łodzi do Protektoratu do Piotrkowa. Od ojca, matki, braci i siostry nie dostawałem żadnych wiadomości, ale tłumaczone to było pocztową cenzurą i byłem zmuszony z tym się pogodzić. I tak, oddzielili mnie od mojej rodziny, od tych, którzy mnie wychowali. Ile trudów kosztowało ich wychowanie mnie do tych lat, kiedy już mogli otrzymać ode mnie pomoc. Teraz ich nie ma. Rozdzielili nas, kindżalem przeszli nasze serca. I któż opíše nasze cierpienia. Umieścili mnie w getcie razem z żoną i 2 dzieci. Jedno 7-miesięczne dziecko umarło z głodu, a ja nie miałem żadnej możliwości je uratować. Z bólem w sercu oddałem swoje dziecko. I tak przeżyłem w getcie dwa lata. 17 września 1942 r. była w getcie obława. W środku dnia gestapowcy i żydowska policja odebrali mi drugie dziecko, mój skarb, wszystko najdroższe, co mieliśmy w życiu. Ludzie! Przedstawcie sobie ten ból, te męki, ale niczego zrobić nie mogłem. I tylko sam siebie przekonywałem, że dziecku nic się nie stanie. Ale już mnie nic nie cieszyło. Życie moje było złamane i na wszystko patrzyłem obojętnie. Żona starała się mnie uspokoić, ale nic mnie nie interesowało, a marzyłem tylko o tym, aby wyjechać gdziekolwiek. Ale dokąd mogłem wyjechać, jeśli wokół nas był drut kolczasty. Na koniec – 14 lipca 1944 r. wyjechałem do obozu na roboty. Żegnając się ze mną, żona mi mówiła: „Może spotkasz gdzieś dziecięcy obóz i zobaczysz nasze kochane dziecko...” i ona jakby przeczuwała, że ja rzeczywiście pójdę po śladach naszego dziecka. W obozie pracuję jako krawiec i jest mi ogólnie nieźle, ponieważ jem do syta, ale to całe jedzenie wydaje mi się trucizną, bo ten obóz okazuje się obozem śmierci. Dwa lata temu przywieźli tutaj wszystkie dzieci z łódzkiego getta i zadusili je gazem, a potem spalili. I cóż wy powiecie? Tutaj rzeczywiście znalazłem ślady mojego dziecka. Kilka tygodni temu wysiedlili wszystkich mieszkańców getta skierowali ich, jak to zawsze się mówiło, na roboty. Teraz zostałem sam, bez żony i bez dzieci. I zakuli mnie w kajdany, jak bandytę. Dawniej cierpiałem i teraz muszę cierpieć, dlatego że jestem Żydem. Za co pytam się? Co złego zrobiłem ja, moja żona czy moje niewinne dziecko, które zginęło taką straszną śmiercią. Możecie wy, wolni ludzie, patrzeć na to wszystko i nie reagować? Nikt mi nie daje odpowiedzi, nikt mi nie daje rady, a mózg mój pracuje dzień i noc w poszukiwaniu wyjścia, ale niestety żadnego wyjścia znaleźć nie mogłem. Mam jedną prośbę: zawiadomcie o mnie siostrę mojej żony, która mieszka z mężem i dzieckiem w Szanghaju (Chiny), nazwisko męża Lamranc Abram, a jej panieńskie nazwisko Feterman Estera z m. Łódź, ul. Wolgańska, dom 159. Ona jedna została z moich krewnych żywa, dlatego że mieszka za granicą, daleko od brudnych łap. Oczekuję sądnego dnia, który i dla mnie jest przygotowany. Nic nie poradzisz! Powinienem być razem z moją rodziną. Mamy tylko żal do amerykańskiego i angielskiego rządu, jeśli by oni chcieli, to mogliby tego światowego łobuza rzucić na łopatki i nie dopuścić do tego, żeby setki tysiące Żydów zginęło taką śmiercią. I za co? Chciałbym teraz być ptaszkiem i polecieć w daleki, dobry świat i osobiście im wszystko opowiedzieć o tym, co tu się dzieje i co powinni robić. W momencie, kiedy w tych pięknych krajach odbywają się

---

<sup>5</sup> Relacja ta jest fragmentem tzw. Testamentu ostatnich więźniów.

orgie, leje się całymi butelkami wino, szampan i whisky, i lampy... – u nas leje się benzyna w piece i podrzucają drewno, żeby ludzie, w tym i wasi krewniacy, dobrze płonęli. Tak! Tak to tu się dzieje! Ale mogę tylko marzyć i nic więcej. Nie wiem, co bym zrobił, jeśli by ze mną nie był tutaj Benoi. To chłopiec, który o sobie też pisze w tym notesie. Bardzo go polubiłem, jak własne dziecko, bo on mnie też bardzo lubi. Razem dzielimy nasze męki. Trzeba kończyć, bo oczy moje już rozboleły od łez, trzeba kłaść się spać na twardej podłodze. Proszę was, szczęśliwi ludzie, zemścijcie na tych bestiach za nas i naszych krewnych.

Izaak Zydelman<sup>6</sup>

*Mówią świadkowie Chełmna*, red. Łucja Pawlicka-Nowak, Łódź – Konin 2004, s. 72–73.

---

<sup>6</sup> Powinno być: Zygelman.

## **Sytuacja przed ostateczną likwidacją getta łódzkiego 14 lipca 1944 roku**

„Biuletyn Kroniki Codziennej” z lipca 1944 r.  
Sprawozdanie dzienne z czwartku, 13 lipca 1944 r., „Kronika Codzienna” nr 194

### ***Małe zwierciadło getta***

Przerażenie na ulicach. Ilekroć w getcie trwa akcja mająca na celu wywózkę z getta, dochodzi do napięć, konfliktów i tragedii. Zmienia się obraz getta, a nawet obraz ulicy.

Transporty w lipcu 1944 r. odchodziły coraz mniej liczne. Ludzie się nie zgłaszali, mając niepewną nadzieję, że wszystko „zmierza ku końcowi” i dlatego stawienie się w Centralnym Więzieniu jest czystą lekkomyślnością.

Nadszedł 13 lipca, czwartek przed piątkiem, w którym znów miał odejść transport. Ludzie jak zwykle poruszali się po ulicach, szli do kuchni, do resortów i oddziałów, kiedy jak spod ziemi wyrosli z lewej i z prawej strony funkcjonariusze SP i spędzili wszystkich, którzy akurat tamtędy przechodzili. „Zamykać bramy!” – krzyczeli niektórzy funkcjonariusze SP, przytrzymując skrzydło bramy prowadzącej do kuchni. Za nią tłoczył się tłum. „Co się dzieje? Przepuście nas! Musimy zanieść do domu nasz obiad (zupę)!” krzyczały kobiety jedna przez drugą. Nie otrzymały żadnej odpowiedzi.

Polowanie trwało dalej. Każdy, kto tylko szedł ulicą ryzykował, że wpadnie w ręce oprawców.

Wszystkich sparaliżował strach. Spędzono ludzi. Pilnowani z przodu i z tyłu przez policjantów szli na posterunki, gdzie dokonywano selekcji. Mijały godziny. Powoli zrobiło się późne popołudnie.

„Niech pan nie wychodzi na ulicę, bo pana złapią!” Tymi słowami ludzie ostrzegali się wzajemnie.

Getto było jak sparaliżowane. Nogi odmawiały posłuszeństwa, strach ścisnął gardło i nie puszczał. Takiej obławy getto nie przeżyło w ciągu czterech lat swego istnienia.

Dopiero około godz. 5, gdy otwarły się bramy resortów i wyrzuciły ludzi na ulicę, napięcie osłabło.

13 lipca był dniem strachu. Łup był nieduży. Niecałe 50 osób, których udało się schwytać do transportu.

„Czegoś się jednak nauczyliśmy od naszych strażników... polowania na ludzi...”, powiedział pewien filozof z getta.

O.R.

[...]

Jednak teraz w getcie dzieje się tak samo, jak i w życiu, silniejszy pożera słabszego. Ktoś musi wyjechać. 700 osób w jednym transporcie. Ludzie będący u steru nie będą przecież wysyłać swych krewnych. I tu los jest sprawą rynkową.

To są gołe fakty.

Nie da się tu rozstrzygnąć pytania, czy lepszy los wyciąga osoba wyjeżdżająca, czy pozostająca. Dodajmy tylko na marginesie, że panuje powszechne przekonanie, że wyjeżdżających nie czeka żaden zły los. Oczekuje się z całą pewnością, że będą oni naprawdę wykorzystani do pracy i traktowani po ludzku. Dlatego też Prezes żąda, żeby wysyłać tylko ludzi naprawdę zdrowych i zdolnych do pracy.

*Kronika getta łódzkiego/Litzmannstadt Getto 1941–1944*, t. IV: 1944, oprac. i red. nauk. Julian Baranowski [i in.], Łódź 2009, s. 423–425.

## **Opis wydarzeń Wielkiej Szpery w Litzmannstadt Getto**

„Biuletyn Kroniki Codziennej” z września 1942 (wyd. polskie)  
Litzmannstadt Getto, dnia 14 września 1942 r.

Okres 5–12 września 1942 r. pozostawi niezatarte wspomnienie u tej części ludności getta, [do] której uśmiechnie się los i przetrwa okres wojny.

Jeden tydzień, osiem dni, które wydają się całą wiecznością!

Dzisiaj jeszcze trudno zdać sobie sprawę z tego, co zaszło. Przez getto przeszedł żywioł, który zmiotł z powierzchni około 15 tysięcy osób (dokładnej liczby nikt jeszcze nie zna) i życie jak gdyby znów powróciło do dawnego koryta.

W przemówieniu swoim z dnia 4 września 1942 r. (godz. 16) Pan Prezes zapowiedział, że na żądanie władz nastąpić musi wysiedlenie około 20 tys. Żydów z getta w wieku do lat 10 i powyżej lat 65. Takie instrukcje otrzymała Komisja Wysiedleńcza. [...]

W myśl obwieszczenia Pana Prezesa z dnia 4 bm. zawieszony został ruch pieszy z dniem 5 bm. od godz. 17 aż do odwołania i wtedy rozpoczęła się akcja wysiedleńcza policji żydowskiej. Aresztowania osób do wysiedlenia następowały na podstawie materiału Komisji Wysiedleńczej, w miarę otrzymywania którego zbierano ludzi w różnych częściach miasta i odstawiano do punktów zbornych. Nazywało się, że gdyby ta akcja natrafiła na jakiegokolwiek trudności lub też opór, wtedy wkroczą władze niemieckie. Zaledwie jednak rozpoczęła się ta akcja, a już w poniedziałek 7 bm. słyszało się o przejęciu inicjatywy przez władze niemieckie, które nie opierały się na żadnych wykazach, lecz kierowały się wyłącznie wrażeniami optycznymi.

Zasadniczo wyglądało to tak, że blok za blokiem zostawał otoczony przez policję żydowską i po kolei do każdego domu wkraczał przedstawiciel władzy (gestapo) w otoczeniu całej chmary policji i straży ogniowej żydowskiej. Wystrzałem dawano sygnał do zbiórki, po czym wszyscy mieszkańcy danego domu zwoływani zostawali na podwórze, ustawieni w dwuszeregu podlegali przeglądowi przedstawiciela władzy. W międzyczasie policja żydowska rewidowała mieszkania i sprowadzała ewentualnie ukrywających się lub też chorych. Akcja taka w mniejszych domach trwała nieraz tylko kilka minut. Po jednej stronie ustawiani byli deportanci, po drugiej zaś ci, którzy mieli zostać. Wybrani do deportacji odsyłani byli do punktów zbornych. Dla lewej strony getta punktem zbornym był szpital przy ul. Drewnowskiej, zaś dla prawej – szpital przy ul. Łągiewnickiej. Ponieważ akcja odbywała się w tempie niezmiernie szybkim i wozy stale odchodziły i przybywały do szpitala, wydelegowani do spisywania deportantów urzędnicy nie mogli nadążyć spisać przywiezionych i tylko część ujęta została spisem, inni zaś wywiezieni zostali z getta autami, a personalia ich nie zostały i może nigdy nie zostaną już ustalone. [...]



Ażeby zachęcić policję żydowską i straż do sumiennego przeprowadzenia akcji, przyrzeczono im ochronę najbliższej rodziny. Toteż ulokowano dzieci w szpitalu i izolowano je od pozostałej ludności, zaś dla osób starszych i specjalnie protegowanych urządzano izolatkę na Marysinie. Takich szczęśliwych było około 1500 osób, które mimo starości i ułomności, uchronione zostały od wysiedlenia.

O ile jednak ładowanie na wóz nie zamykało jeszcze drogi do ratunku, to wsadzenie deportanta do auta (były to ciężarówki pięciotonowe z przyczepkami wysoko obstawione deskami) przekreślało wszelką nadzieję ratunku.auta te od razu opuszczały getto i wracały po upływie niespełna godziny. Wnioskować z tego można było, że miejsce wysadzenia deportantów nie było zbyt odległe od getta.

Na terenie szpitali odgrywały się dramatyczne sceny. Próby ucieczki likwidowane były krwawo. Przy tak szybkim tempie postępowania Władze nie zastanawiały się nad pobudkami ani też przyczynami tego czy innego postępowania. Przy ul. Zgierskiej 38 starsza kobieta – Sieradzka – nie zrozumiała, czy kazano jej pójść na prawo, czy na lewo i, zamiast na wóz, doszła do grupy „pozostawionych”. Władze tłumaczyły to chęcią ucieczki. Wspomniana została zastrzelona na miejscu. Przy ul. Zgierskiej 3 Rozenblum, chłopak trzynastoletni, usiłował ukryć się w śmietniku; został spostrzeżony i zastrzelony. Takich ofiar nalicza się wiele, a jeszcze liczniejsze były wypadki zranienia podczas strzelania do tłumu. [...]

Po zakończeniu akcji normalnej, zaczęła się tzw. weryfikacja „na wrywkę”. Zamiast na dziedzińce domów, zwoływano już teraz przeważnie (na mniejszych uliczkach) wszystkich mieszkańców na ulicę i tu również zabierano na wozy wielu takich, którzy dawniej byli zwolnieni. Ofiarą padło wiele osób, które – wobec nieprzestrzegania szpery – przypadkiem okazało się w wizytowanych dzielnicach. Na ogół jednak ponowny przegląd nie dał wielkich plonów i były domy, z których nie zabrano ani jednej osoby.

*Kronika getta łódzkiego/Litzmannstadt Getto 1941–1944, t. II: 1942, oprac. i red. nauk. Julian Baranowski [i in.], Łódź 2009, s. 487–490.*

## ***Deportacje pacjentów szpitali z terenu getta łódzkiego do obozu zagłady Kulmhof podczas Wielkiej Szpery***

„Biuletyn Kroniki Codziennej” z września 1942 (wyd. polskie)  
Litzmannstadt Getto, 1 września 1942 r.

Dziś, w trzyletnią rocznicę [wybuchu] wojny, getto obudziło się w jakimś niesamowitym koszmarze.

Jeszcze przed godziną policyjną, przed szpital przy ul. Wesolej zajeżdżało auto ciężarowe z dwiema przyczepkami, a konwojujący je przedstawiciele władzy (w aucie osobowym) zażądały załadowania wszystkich chorych. Z ul. Wesolej auta te ruszyły ul. Lutomierską do rogu Pawiej, skręciły pod szpital przy ul. Drewnowskiej i ewakuowano chorych na teren poza gettowy. To samo powtórzyło się przy ul. Łagiewnickiej i Mickiewicza. W pierwszym szpitalu wszyscy chorzy zostali ewakuowani, w drugim – jak opowiadają – część uratowała się ucieczką, natomiast w ostatnich dwóch szpitalach chorzy, podobno, przeskakiwali przez płot szpitalny.

Wchodząc do szpitala, władze zażądały podobno podania im stanu liczebnego, a po załadowaniu i odliczeniu ewakuowanych domagali się wydania uciekinierów – pod groźbą najsurowszej sankcji.

Tragedia i chorych, i ich rodzin jest nie do opisanie.

Temu brat, a tamtemu siostra, temu ojciec, a tamtej matka, kuzyn, ciotka! Każdy kogoś zostawił. Takiej rozpacz nie widziało się przy największym nasileniu wysiedlenia, nie słyszało się tyle płaczu i lamentów. Tu i ówdzie stoi garstka zapłakanych kobiet, dzieci i bezradnych mężczyzn, którzy rozstali się ze swoimi najbliższymi w tak niesamowity sposób.

A wiele to trudu i zabiegów wymagało dostanie się do szpitala? Jakiej to protekcji trzeba było użyć, ażeby uzyskać łóżko, bodaj na korytarzu, w przejściu. Jak szczęśliwa była rodzina, że mogła oddać najbliższego pod opiekę szpitalną! A tu naraz...

Powodu [ewakuacji] nikt nie zna, chyba tylko, że w gmachach szpitalnych powstać mają nowe resorty, ale wszak dla chorych nagle budowano baraki przy ul. Krawieckiej/ Tokarzewskiego, które niebawem mają zostać wykończone. Dlaczego więc ten pośpiech? Czemu tak nagle?

Umysły są strasznie wzburzone, nastrój panuje makabryczny i trudno jeszcze dojść do jakiejś konkretnej koncepcji. Czynniki miarodajne żydowskie zaskoczone zostały tym nowym zarządzeniem i wypowiedzieć się zupełnie nie mogą. Interwencje są bezskuteczne, bowiem auta już wyruszyły i są het poza gettem. Prezes od wczesnego ranka był w szpitalu przy ul. Drewnowskiej (o wyniku jego interwencji nikt nie słyszał), a pan Gertler uwijał się dokoła szpitala przy ul. Łagiewnickiej, otoczony najróżniejszymi petentami.

A tymczasem życie biegnie dalej, nadchodzą wozy z kartoflami i przesłaniają te inne troski. Kto nie został bezpośrednio zaatakowany, myśli o dniu jutrzejszym i wierzy, że może los go uchroni od nowej strasznej próby życia. Umysły stępiały, a nad wszystkim dominuje sprawa żołądka! Smutne i bolesne, ale niestety prawdziwe!

*Kronika getta łódzkiego/Litzmannstadt Getto 1941–1944, t. II: 1942, oprac. i red. Julian Baranowski [i in.], Łódź 2009, 480–481.*

## ***Obwieszczenie Przełożonego Starszeństwa Żydów w getcie łódzkim Mordechaja Chaima Rumkowskiego o zakazie wychodzenia z domu<sup>7</sup>***

### ***Obwieszczenie nr 391***

#### ZAKAZ WYCHODZENIA Z DOMU W GETCIE

Od soboty

dnia 5 września 1942 roku od godz. 17-tej obowiązuje w getcie aż do odwołania

zakaz chodzenia po ulicach.

Niniejszym nie są objęci:

strażacy, oddział transportowy, robotnicy wywożący śmieci i fekalia, przyjmujący towary na Rynku Bałuckim i w Radogoszczy, lekarze i personel aptekarski.

Zapotrzebowanie na przepustki muszą być złożone w zwierzchności Służby Porządkowej przy ul. Hamburskiej 1.

---

<sup>7</sup> Zakaz ten, obowiązujący od 5 do 12 września 1942 r., został nazwany „Wielką Szperą”. Celem akcji było wywiezienie z getta do obozu zagłady Kulmhof w Chełmnie nad Nerem dzieci poniżej 10. roku życia, chorych i starców. Zamiast 20 tysięcy osób, jak wcześniej zaplanowano, z getta wysiedlono 15 685 osób, w tym 5860 dzieci. Przyczyną tych tragicznych wydarzeń były niemieckie plany przekształcenia łódzkiego getta w obóz pracy. W czasie akcji na terenie getta niemieccy policjanci zamordowali 600 osób. Tylko niewielkiej grupie uprzywilejowanych pozwolono zatrzymać dzieci. Wielu próbowało ukryć swoich najbliższych. Po „szperze” w getcie pozostało około 90 tysięcy Żydów.

Wszyscy dozorczy [domów]

są zobowiązani uważać, aby żadne obce osoby nie dostawały się do powierzonych im domów, a przebywały tam jedynie osoby zamieszkałe. Wszyscy, którzy zostaną spotkani na ulicy bez ważnej przepustki, będą wywiezieni. Administratorzy domów muszą być do dyspozycji w swoich blokach wraz z książkami meldunkowymi. Każdy mieszkaniec domu winien mieć przy sobie swoją kartę pracy.

Ch. Rumkowski  
Starszy Żydów w Łodzi

Archiwum Państwowe w Łodzi, Akta Przełożonego Starszeństwa Żydów, sygn. 52.

## ***Przemówienie Chaima Rumkowskiego o konieczności wykonania nakazu „przesiedlenia” 20 tysięcy dzieci i starców, wygłoszone do mieszkańców getta łódzkiego 4 września 1942 roku***

Na getto spadł ogromny smutek. Żądają od nas, byśmy oddali co mamy najdroższego: dzieci i ludzi starych. Ja nie miałem do tego szczęścia, aby mieć własne dzieci, dlatego poświęciłem najlepsze lata mego życia dzieciom cudzym. Nigdy nie przypuszczałem, że to moje ręce będą składały taką ofiarę na ołtarzu. Przypadło mi w losie, że muszę dziś wyciągnąć do was ramiona i błagać: bracia i siostry, ojcowie i matki – wydajcie mi swoje dzieci... [tłumem wstrząsa ogromny szloch].

Miałem przeczucie, że nam coś zagraża, oczekiwałem jakiegoś ciosu i stałem dzień i noc na straży, by mu zapobiec. Nie udało mi się to, nie wiedziałem, z której strony on padnie, nie wiedziałem, co nas czeka. Nie przewidywałem tego, że wyniosą naszych chorych ze szpitali [...]

Wczoraj po południu dostaliśmy rozkaz, aby deportować 20 000 ludzi z getta. Jeśli nie – powiedziano nam – „zrobimy to sami”. Stanęliśmy przed dylematem: czy zrobimy to my, czy zostawimy to im. Z myślą o tym – nie ilu zginie, ale ile potrafimy uratować, ja i moi najbliżsi współpracownicy doszliśmy do wniosku, że jakkolwiek jest to dla nas straszne, musimy wziąć na siebie odpowiedzialność za wypełnienie tego dekretu. Ja muszę przeprowadzić tę krwawą operację. Ja muszę amputować członki, aby ratować ciało. Ja muszę odebrać wam dzieci, bo inaczej inni zginą wraz z nimi. Nie przyszedłem, by was pocieszać, nie przyszedłem, by wam ulżyć na sercu – jestem tu, by dzielić ogrom waszej żałoby. Przyszedłem jak złodziej, by ukraść, co macie najdroższego. Nie szczędziłem sił, by ten dekret unieważnić. Gdy to okazało się niemożliwe, starałem się go złagodzić. Kazałem zrobić rejestr dzieci dziewięcioletnich i starszych, który je wyjmie spod dekretu. Nie chcieli na to przystać. Jedyna rzecz tylko mi się udała – dzieci od lat dziesięciu wzwyż nie podlegają dekretowi. Niech to będzie jakąś pociechą.

Mamy w getcie wielką ilość zakażonych na gruźlicę, którym pozostaje tylko parę dni, może tygodni życia. Nie wiem, może ten plan jest diabelski, muszę zwrócić się do was z zawołaniem: wydajcie tych chorych, aby na ich miejsce ratować zdrowych. Ja wiem, jak każda rodzina troszczy się o swych chorych. Ale w obliczu takiej groźby musimy rozważyć i zdecydować: kto może, kto winien być uratowany? Zdrowy rozsądek dyktuje, aby ratować tych, których się da, którzy mają szansę przeżycia, a nie tych, którzy umrą tak czy owak. Żyjemy w warunkach, gdzie nie ma dosyć środków żywności dla zdrowych, nie mówiąc już o chorych. Każdy z nas utrzymuje chorego przy życiu kosztem własnego zdrowia, dajemy choremu naszą rację chleba, naszą kostkę cukru, nasz kęs mięsa – w rezultacie jego to ratuje, a my sami zapadamy na zdrowiu. Rozumiem, takie ofiary są szlachetne. Ale gdy stoi przede mną wybór, czy ratować chorych, czy zdrowych, nie mogę się długo wahać. Nakazałem lekarzom, aby wydali wszystkich nieuleczalnie chorych, aby w ich miejsce uratować tych, którzy chcą i mogą żyć [pośród zgromadzonych płacz, jęki i biadanie].

Ja was rozumiem, matki, widzę wasze łzy. Czuję smutek waszego serca, ojcowie, którzy jutro, gdy wam wasze dzieci zabrano, pójdziecie jak codziennie do pracy. Wiem to wszystko i serce mi pęka. Od 4-tej godziny wczoraj po południu, gdy mi obwieszczono ten dekret, jestem złamany, dzielę wasz ból, nie wiem skąd wziąć resztki sił, by to przeżyć. Jedną rzecz wam powiem – żądanie było na 24 000 ofiar, 3000 dziennie przez osiem

dni, ale udało mi się wytargować tę cyfrę do 20 000, a może i nieco mniej, ale tylko pod warunkiem, że pójdą wszystkie dzieci do dziesiątego roku życia. Ponieważ dzieci i starców jest tylko 13 000, musimy dopełnić kwoty wydając ludzi chorych. Trudno mi mówić, siły mnie opuszczają. Zwracam się do was z apelem: pomóżcie mi wykonać tę akcję. Drzę na myśl, że broń Boże, inne ręce tę akcję przeprowadzą. Widzicie przed sobą ruinę człowieka. To jest najtrudniejszy moment mojego życia. Wyciągam do was ramiona i błagam was: oddajcie w me ręce te ofiary, chroniąc nas od większych ofiar, chroniąc społeczność stu tysięcy Żydów...

*Wybór źródeł do nauczania o Zagładzie Żydów, wybór i oprac. pod kier. Aliny Skibińskiej i Roberta Szuchty, Warszawa 2010, s. 230–232.*

## ***Arnold Mostowicz<sup>8</sup>, Raport w sprawie Cyganów<sup>9</sup>***

Warunki, w jakich w getcie żyli Żydzi, były straszne. Ale co powiedzieć o obozie Cyganów? W tych trzech czy czterech kamienicach mogło się znajdować nie więcej jak sto dwadzieścia, sto pięćdziesiąt niewielkich izb. A izby te pomieścić musiały kilka tysięcy ludzi. Pomieścić? Przecież tutaj ci ludzie mieszkali, jedli, chorowali... Większość Cyganów nie ruszała się prawdopodobnie ze swoich legowisk. [...]

Rzadko gdzie i kiedy zostały stworzone pomyślniejsze warunki dla objęcia epidemią duru plamistego tak wielkiej liczby ludzi. Początkowo na terenie obozu prowadzono jeszcze jakąś statystykę. Później i jej zaniechano. Nie wystawiano nawet kart zgonu. Zmarłych chowano bezimiennie na cmentarzu żydowskim, do którego zresztą z obozu były dwa kroki...

Ziemia-matka nie czyniła różnicy między grzebanymi przy zachowaniu wszystkich form żydowskiego rytuału religijnego, a grzebanymi bez łez i modłów Cyganami.

Trwało to, jak powiadam, około dwóch miesięcy. Aż pewnej nocy zajechały przed obóz cygański samochody ciężarowe, na które załadowano wszystkich, zdrowych i chorych – i wywieziono. Niemcy nawet nie robili tajemnicy z losu, jaki spotkał mieszkańców obozu. Zresztą, przed kim mieli robić tajemnicę? Przed innymi podludźmi, których czekała podobna przyszłość? Wszystkich Cyganów wymordowano... Część wystrzelano, a część zagazowano w samochodach z rurami spalinowymi wmontowanymi do wewnątrz. Sposób ten wypróbowano już wcześniej na Żydach

---

<sup>8</sup> Arnold Mostowicz – pisarz, lekarz. Urodził się w 1914 r. w Łodzi i z tym miastem pozostawał związany do końca życia, mimo że po wojnie nie mieszkał już w Łodzi. W 1932 r. rozpoczął studia medyczne we Francji. W tym czasie do Polski przyjeżdżał tylko na wakacje. Po otrzymaniu dyplomu lekarskiego, tuż przed wojną, wrócił do kraju. Praktykę lekarską rozpoczął w Warszawie, dokąd uciekł przed zbliżającymi się do Łodzi oddziałami niemieckimi. Powrócił jednak do Łodzi, gdzie na terenie getta pracował w szpitalu chorób zakaźnych i w pogotowiu. W sierpniu 1944 r., kiedy trwała ostateczna likwidacja getta, został deportowany do obozu koncentracyjnego Auschwitz, a później do innych obozów na terenie Rzeszy. Po wojnie mieszkał w Warszawie i Krakowie, tylko przez krótki czas, ze względu na dolegliwości zdrowotne, wykonując zawód lekarza. Zajmował się dziennikarstwem i literaturą. Walczył o przywrócenie pamięci o Żydach łódzkich w świadomości i krajobrazie tego miasta. Żółta gwiazda i czerwony krzyż, napisana wiele lat po wojnie, w 1988 r., jest autobiograficzną powieścią o czasie spędzonym w getcie łódzkim i jednym z najważniejszych świadectw zagłady łódzkich Żydów.

<sup>9</sup> Cyganie do getta łódzkiego zostali wsiedleni z pogranicza Austrii i Węgier jesienią 1941 r. Pięćdziesięcioro-osobowa grupa została umieszczona na ściśle odizolowanym terenie o powierzchni 0,019 km<sup>2</sup>, w piętnastu budynkach z 543 izbami bez podstawowego wyposażenia. Brakowało przedmiotów codziennego użytku, łaźni i toalet. Ciasnota i koszarne warunki higieniczne spowodowały wybuch epidemii tyfusu, w wyniku której zmarło około 700 mieszkańców obozu cygańskiego. Ze względu na epidemię Niemcy przyspieszyli decyzję o eksterminacji tej grupy narodowościowej, która w dniach 5–12 stycznia 1942 r. została deportowana do obozu zagłady Kulmhof w Chełmnie nad Nerem i tam zamordowana w samochodach-komorach gazowych. Eksterminacji dokonano bezpośrednio w lesie rzuchowskim. Arnold Mostowicz, jako lekarz getta łódzkiego, wzytywał wraz z komendantem Eugenem Jansenem obóz cygański w listopadzie 1941 r.



wysiedlonych z getta. Kamienice, które tworzyły obóz, wróciły do getta, czyli za pojedyncze druty kolczaste. Solidnie je wydezynfekowano i kilkadziesiąt rodzin żydowskich, zanim i te zagazowano w Chełmnie lub w Oświęcimiu, zamieszkało w ich świeżych wnętrzach. Jak się później w Wydziale Zdrowia dowiedziano, na decyzję wymordowania obozu cygańskiego wpłynął podobno fakt zwiększonej liczby zachorowań na dur plamisty w samej Łodzi. Tej aryjskiej, rzecz jasna. Ile w tym prawdy – trudno dociec.

Arnold Mostowicz, *Żółta gwiazda i czerwony krzyż*, Warszawa 1988, s. 62–63.

## ***Fragment Dziennika Dawida Sierakowiaka<sup>10</sup> z 5 września 1942 roku, dotyczący wydarzeń Wielkiej Szpery w getcie łódzkim***

Sobota, 5 września

Moja przenajświętsza, ukochana, wymęczona, błogosławiona, rodzona MATKA padła ofiarą krwiożerczej bestii germańskiego hitleryzmu!!! I zupełnie niewinne, jedynie z winy złego serca dwóch czeskich Żydów, lekarzy, którzy byli u nas i badali nas.

Już od rana było niespokojnie na mieście, bo rozeszła się lotem błyskawicy wiadomość, że w nocy brali dzieci i starców, których wsadzono do pustych szpitali, skąd w poniedziałek mają zostać wysiedleni (po 3000 osób dziennie!). Z rana byłem u Goldmana, którego córeczkę w nocy zabrano (powiedzieli mi o tym sąsiedzi, bo rodziców nie zastałem). Potem byłem u Wolmana, u którego też było zamknięte. Byłem u Frydrycha, który jak zwykle bawił się swoją kurą.

W ogóle od samego rana nie mogłem sobie miejsca znaleźć, gnany złymi przeczuciami i niemożnością usiedzenia w mieszkaniu z powodu upału i duszności. Po drugiej, gdy byliśmy już po ugotowanej naprędce zupie obiadowej, zjechały na naszą ulicę wozy i rolwagi z komisjami lekarskimi, policjantami, strażakami, pielęgniarkami, którzy rozpoczęli brankę. Zamknięto dom naprzeciwko nas (Spacerowa 8), skąd po półtorej godzinie wydobyto troje dzieci. Krzyki, walka i płacz matek oraz całej asystującej ulicy były nie do opisania. Rodzice zabieranych dzieci formalnie szaleli. W czasie tego wszystkiego do naszego domu weszło zupełnie niespodziewanie dwóch lekarzy, dwie pielęgniarki, kilku strażaków i policjantów. Mieli oni kartki ze spisnymi lokatorami wszystkich mieszkań. Rozpoczęło się szalone, niespodziewane badanie. [...] A ojciec po badaniu matki – gdy ta latała jak szalona, nieszczęsna! po całym domu, błagając lekarzy o darowanie jej – zajął zupę, którą utrzymujący się u nas krewni zostawili na kuchni, i wyjmował cukier z ich torby! Owszem, był nieco oszołomiony, prosił policjantów i lekarzy, ale nigdzie na miasto nie wybiegł, żadnych znajomych możnowładców prosić o protekcję nie poszedł – słowem zadowolony był, że pozbył się żony, z którą pożycie stawało się ostatnio coraz cięższe, co doprowadziło mamę do grobu. Przysięgam na święte dla mnie życie ludzkie, że gdybym tylko wiedział, że matkę nie czeka śmierć i że wojnę mimo wysiedlenia przeżyje, byłbym z zaszłego stanu rzeczy zadowolony. Mama, ta drobna, wychudzona mama, która tyle już nieszczęść przeszła w swoim życiu, której całe życie było jednym pasmem poświęceń dla innych, krewnych i obcych, która, gdyby nie okradanie jej i tu, w getcie, przez ojca i Nadzię z żywności, nie byłaby może wzięta z powodu wyczerpania. Moja biedna mama, która tak brała się zawsze do wszystkiego i niezmiennie, ciągle wierzyła w Boga – okazała teraz, mimo ogromnego zdenerwowania, pełną przytomność

---

<sup>10</sup> Dawid Sierakowiak (1924–1943) – przed wojną uczeń żydowskiego gimnazjum w Łodzi. W getcie prowadził dziennik, którego ostatni zapis pochodzi z kwietnia 1943 r. W dzienniku, dokumentującym życie codzienne w dzielnicy zamkniętej, ujawnił się talent pisarski chłopca. Dawid Sierakowiak zmarł w getcie 8 sierpnia 1943 r.

umysłu. [...] Ucałowała każdego z nas na pożegnanie, wzięła torbę ze swoim chlebem i kilkoma kartoflami, do zabrania których zmusiłem ją, i poszła szybko na swój okropny los. Nie zdobyłem się na tyle siły woli, żeby spojrzeć za nią przez okno, ani na to, żeby zapłakać. Jak skamieniały chodziłem, siedziałem i mówiłem. Co chwila spazmy nerwowe chwytały mnie za serce, ręce, usta i przętyk, iż myślałem, że serca mi pęka. Nie pękło jednak i pozwoliło mi jeść, myśleć, mówić i położyć się spać.

Chociaż na dole czekał wóz, ofiary z naszego domu odprowadzono do szpitala pieszo, było bowiem blisko. [...] Dom nasz padł ofiarą albo jakiejś zemsty badających lekarzy, albo innych jakichś powodów. Jakby nie było, straciłem matkę. Piszę „straciłem”, bo prawie absolutnie już nie wierzę, by coś ją mogło wyratować. [...] Nadzia ryczała, płakała, spazmowała, ale nie wzrusza to dzisiaj nikogo. A ja milczę i jestem bliski obłędu.

*Wybór źródeł do nauczania z Zagładzie Żydów, wybór i oprac. pod kier. Aliny Skibińskiej i Roberta Szuchty, Warszawa 2010, s. 233–235.*

## ***Felieton Oskara Singera<sup>11</sup> o wydarzeniach Wielkiej Szpery (16 września 1942 roku)***

...dzieci, żydowskim dzieciom odbierać rodziców. Pomijając fakt, że żądanie to samo w sobie jest niesłychanie groteskowe, Prezes nie miał żadnego wyboru. Za wszelką cenę trzeba było przynajmniej podjąć próbę przeprowadzenia wysiedleń w możliwie najłagodniejszej formie i o jak najmniejszym zasięgu. [...]

Oczywiście, matki bronią się, ale nie przy pomocy noża i siekiery. Szarpią się z żydowskimi policjantami, przytrzymują dzieci resztkami sił, dopóki nie rzuci się na nie trzech, czterech albo i więcej policjantów i nie wyrwie im dzieci z objęć. Niektóre z całej siły okładają pięściami mężczyzn w obrzydliwych czapkach, z jaskrawymi opaskami na ramieniu: „Oddajcie wasze własne dzieci – ja swojego nie dam!”

Jest jasne, że policjanci Prezesa nie należą do ludzi szlachetnych, ale niejeden umyka w jakiś kąt na podwórzu i płacze. Płaczące matki i dzieci – płaczący oprawcy! Gdzie szukać poety, w którego wyobraźni narodziła by się wizja tak potwornego nieszczęścia! Rozdzierające serca krzyki siłą od siebie rozdzielanych. Dzieci, wsadzane na wozy, zachowują się różnie w zależności od wieku – są albo spokojne albo zrozpaczone. Dziewczynki i chłopcy, którym niewiele brakuje do dziesięciu lat, dzieci getta, w pełni ukształtowani ludzie, którzy już rozumieją tę tragedię, którzy już tak wiele wycierpieli. Młodsze szeroko otwierają swoje wielkie, liczące kilka tysięcy żydowskie oczy i nie wiedzą, co robić. Wsadzono ich na wóz, po raz pierwszy w swym życiu są na wozie, który będzie ciągnął prawdziwy koń. Ho ho – zanoszą się na wesołą przejażdżkę. Niejeden maluch aż podskakuje z radości, jak długo jest jeszcze nieco miejsca na platformie ciężarówki, tupie nóżkami, a tymczasem matki bliskie obłądu leżą na ulicznym bruku i wijąc się w rozpacz rwą sobie włosy z głów.

Z jakiejś sutereny dwaj policjanci wyciągają młodą matkę z mniej więcej czteroletnią dziewczynką. Śliczna, słodka blondyneczka tuli się do piersi matki, rączki ściskają matczyną szyję. Matka, uciekając przed policjantami, gna z jednego końca podwórza w drugi, krzycząc wniebogłosy. Kopie policjanta, który raz za razem próbuje uchwycić dziecko. Wtedy na ratunek rzuca się jej mąż. Z nim nie trzeba się już jednak obchodzić tak delikatnie. Dostaje kopniaka w tyłek, upada i zwija się z bólu. Pomocnik jest załatwiony. Bo niby skąd miałby mieć siłę do walki z kilkoma policjantami naraz? Któryś odważniejszy sługa porządku naskakuje na kobietę i wrywa jej dziecko, a inny powala ją na ziemię: dzieło zakończone. Do następnej. – Biedna matka nie wyszarpnęła noża, nie wyciągnęła siekiery, nie użyła nawet swoich własnych paznokci. Ale potrzeba było całej pół godziny walki, żeby jej odebrać dziecko. Co będzie dalej, jeśli kilka tysięcy matek z takim ogromnym trudem trzeba będzie przekonywać, żeby dobrowolnie oddały swoje dzieci? A jeśli dzieci i starcy poukrywają się w niezliczonej ilości schowków i skrytek getta? Ale przewidziano i taką

---

<sup>11</sup> Oskar Singer (1893–1944/1945) – dziennikarz, dramaturg, adwokat. Deportowany do getta łódzkiego z żoną i dziećmi z Pragi jesienią 1941 r. W getcie znalazł zatrudnienie w Wydziale Archiwum. Od 24 lutego 1943 r. kierował pracami nad Kroniką getta łódzkiego. Pisał felietony, eseje i reportaże o życiu w dzielnicy zamkniętej. Deportowany wraz z rodziną do Auschwitz, następnie do obozu Sachsenhausen, a potem Kaufering, gdzie zmarł. Wojnę przeżyły dzieci Singera, Ilza i Erwin.

ewentualność. Prezes wprowadził całkowity zakaz poruszania się po getcie, obowiązujący od soboty, od 5 po południu. Nikomu bez przepustki nie wolno się było pokazać na ulicy. Za złamanie zakazu groziła ewakuacja.

Za jednym zamachem getto zamieniło się w umarłe miasto. Na niecałych 4 km<sup>2</sup> żyje ponad 100 000 ludzi, a są oni naprawdę ruchliwi. Niczym gniazdo mrówek w nieustannym ruchu. Aż tu nagle getto staje się martwym miastem. Na ulicach widać tylko Służbę Porządkową, tu i ówdzie jakiegoś strażaka, lekarza albo pomocnika aptekarza, w najlepszym razie jeszcze charakterystyczny wóz do wywożenia fekaliiów. A nad miastem zaległa cisza tak przenikliwa, że aż strach oddychać. Można wyczuć, że dzieje się coś straszego. [...]

Dzielnica za mostami może odetchnąć z ulgą. Złapano i zabrano kilkuset ludzi. Wozom towarzyszy pomocniczy personel sanitarny. Smutna głucha cisza wypełnia podwórka. Zza zamkniętych okien i drzwi dociera jedynie cichy płacz ludzi, którzy utracili ukochanych bliskich. Jeśli ktoś się ukrywał, teraz poczuł się bezpiecznie, był uratowany!

Ale w sobotę, w godzinach wieczornych, przez mosty przedostaje się pogłoska: żydowska policja nie sprawdziła się w akcji, Niemcy wzięli ster w swoje ręce, Stare Miasto postawione na głowie. Nie ma żadnych granic wiekowych, biorą wszystkich jak leci, jeśli tak zdecyduje akurat „komando”. Dla kogoś, kto wygląda na niezdolnego do pracy, nie ma ratunku. Na wozy ładuje się ludzi chorych, słabych i zaniedbanych. Słychać było strzały, ale nie wiadomo gdzie i dlaczego, krążą wieści o Rollkommando, które podobno pracuje tak samo jak w Warszawie. Na niecałych czterech kilometrach kwadratowych powstał nieopisany wręcz chaos niekontrolowanych pogłosek, bo poszczególne części miasta były przecież zamknięte, a komunikacja wstrzymana. W rzeczywistości jednak sprawy miały się tak:

Kiedy żydowska policja „pracowała” w II Rewirze, [...] pojawili się panowie z Zarządu Getta i z gestapo, żeby kontrolować przebieg akcji. Skonstatowali, co zresztą gołym okiem mógł dostrzec każdy obserwator, że w tym tempie i przy zastosowaniu takich „humanitarnych” metod nie dostarczą kontyngentu w wyznaczonym terminie. „To dla getta wielkie zagrożenie” – miał stwierdzić Biebow [...]. Z pomocą nielicznych pracujących w getcie urzędników gestapo akcja wysiedleńcza nabrała właściwego tempa. Służbę Porządkową wsparły oddziały straży pożarnej i tak zwanej białej gwardii, czyli pracownicy Wydziału Towarów Kolonialnych. Także i oni otrzymali gwarancję ochrony dla swych własnych dzieci, więc teraz można było rozpocząć taniec w rytm bardziej skocznej melodii. Było tak, jak szeptali między sobą ludzie. Akcja nabiera dobrze znanego tempa „z zaskoczenia”. Procedury formalne są bardzo krótkie. Czas okazuje się teraz być bezcenną walutą. Niemiecka komisja działa zdecydowanie. Po co marnować czas na nudne przeszukiwanie mieszkań, po co książki meldunkowe ze wszystkimi szczegółami? Istnieją bardziej niezawodne kryteria decydowania o tym, czy ktoś nadal będzie człowiekiem getta, czy też zostanie rzucony na pastwę nieznanego losu.

Niemiecka komisja, zaopatrzona w rewolwery i automatyczne pistolety, pojawia się na ulicach wraz z całym monstrualnym aparatem Żydów. [...] Ulice są zamknięte. Kilka strzałów w powietrze stawia na nogi wszystkich mieszkańców. Przyszli! Kilku funkcjonariuszy SP wypędza mieszkańców poszczególnych domów na podwórka: „Wszyscy na dół, nikomu nie wolno zostać w mieszkaniu, drzwi zostawić otwarte!”

Tak jak stali, bez żadnego bagażu i zapasowego ubrania, ludzie w pośpiechu wybiegają ze swych mieszkań. W zależności od możliwości ustawiają się na podwórkach albo na ulicach. „Zdjąć czapki, podnieść głowy!” – pada komenda, wydana przez żydowskiego oficera policji. Chce ostrzec i uspokoić. Ale ludzie mają już doświadczenie. Niemcy żądają okazywania im szacunku – czapkę na głowie można przypłacić utratą tejże głowy, a niewłaściwa postawa jest niebezpieczna. „Podnieść głowy i patrzeć Niemcom prosto w oczy!” Oni to lubią. *Nebbich* (osoba nieśmiała,

strachliwa), starcy zredukowani jeszcze bardziej, odkąd musieli poświęcić swoje brody, te rozpadające się, złamane postacie getta, mają stać na baczność.

Niezwykle pewnym ruchem ramienia Niemiec wyciąga z szeregów chorych, chorowitych, opuchniętych i słabych. Jednym ruchem ręki prowadzi „sortowanie materiału”: na prawo – zostajesz, na lewo: marsz na wóz! [...]

Nikt się nie porusza. Tragedia rozgrywa się jak film zgodnie z wolą jego reżysera. Wobec niej błędnie wszystko, co z historii Żydów wiemy o rzeziach, wypędzeniach, inkwizycji. [...]

Gniew getta na swe dzieci z getta Litzmannstadt jest wciąż straszny. W mieście znów szaleje furia. Tam, gdzie Niemcy już raz wyrwali ludzi z ich nędznego żywota, zjawiają się ponownie. I jeszcze raz przeszukują każdą dzielnicę i każdą ulicę. Kto uratował się za pierwszym razem, teraz jest już ostatecznie zgubiony. Te same sceny, te same tragedie. Serce jest zbyt zmęczone, by znieść wszystkie te cierpienia. Kto ocalał, cieszy się jak rozbitek, którego litościwa fala wyrzuciła na brzeg. Nie może tylko skakać z radości, bo jego dusza jest zbyt zgnębiona. Kiedy, kiedy wreszcie wysączony będzie ten kielich goryczy!

Wreszcie w sobotę, 12 września, wiadomo: akcja zakończona. Jednak nikt jeszcze nie wierzy w tę informację. Uwierzą dopiero wtedy, gdy pierwsi posłańcy zameldują, że otwierane są sklepy, że wydawany będzie chleb i racja. [...]

Zgodnie z obwieszczeniem fabryki i wydziały mają podjąć swą normalną pracę dopiero w poniedziałek. Dopiero w poniedziałek będzie wiadomo, kogo brakuje. Jak po trzęsieniu ziemi ludzie będą poszukiwać swych przyjaciół i krewnych. Bo, choć zniesiono zakaz poruszania się po ulicach, getto nadal jest jak martwe. Niedziela to dla getta dzień odpoczynku, pierwszy jaki dane mu jest przeżyć. Dzień odpoczynku śmierci.

*Kronika getta łódzkiego/Litzmannstadt Getto 1941–1944, t. V: Suplementy, oprac. i red. nauk. Julian Baranowski [i in.], Łódź 2009, s. 217–228.*

## ***Pierwsze deportacje z getta w Łodzi do obozu zagłady Kulmhof (20 grudnia 1941 roku)***

„Biuletyn Kroniki Codziennej” z 20 grudnia 1941 r.

### ***Wysiedlenie 10 tysięcy osób z getta***

Dnia 16 bm. władze niemieckie odbyły z Panem Prezesem konferencję, w trakcie której zażądały opuszczenia getta przez 20 tysięcy osób. Drogą perswazji i próśb udało się Panu Prezesowi uzyskać złagodzenie zarządzenia przez zredukowanie wskazanej liczby wysiedleńców do połowy z tym poza tym, iż Przełożony Starszeństwa Żydów na podstawie uprawnień o autonomii wewnętrznej getta sam zadecyduje o tym, kto ma getto opuścić.

Podobno wysiedleńcy mają być skierowani do mniejszych miasteczek w Protektoracie, do ośrodków, w których problem aprowizacyjny nie stanowi tak trudnego zagadnienia, jak w wielkich miastach. Na miejsce wysiedlonych mają być skierowani do getta robotnicy i fachowcy z innych miast i miasteczek.

Po rozmowie z władzami Pan Prezes odbył konferencję w ścisłym gronie kilku osób, piastujących czołowe stanowiska w administracji i sądownictwie gminnym. W wyniku tej konferencji powołana została do życia komisja „pięciu” składająca się z następujących osób: adw. Neftalina, kierownika Wydziału Ewidencji i ostatnio Urzędu dla Nowej Ludności, Rozenblata, komendanta Służby Porządkowej, adw. Jacobsona, przewodniczącego Sądu, Hercberga, komendanta Centralnego Więzienia i szefa dzielnicy marysińskiej, Blemera, naczelnika Urzędu Śledczego, Grynberga, kierownika referatu karno-administracyjnego. Ustalono, iż żądany przez władze kontyngent wysiedleńców składać się będzie z następujących grup: około 2 tysięcy przybyłych ostatnio z Włocławka i okolicznych miast na Kujawach (z powyższych okolic przybyło do getta ponad 2900 osób, od wysyłki wyeliminowane zostaną najstarsze roczniki), tak zwany element niepożądany, ze względu na publiczny interes ludności getta z „wyrokowcami” i ich rodzinami w pierwszym rzędzie, rodziny wysłane na roboty do Niemiec w listopadowych transportach (część przymusowo wysłanych, około 1000 osób). Uchwał w sprawie ustalenia list wysłańców następować będzie w drodze kolegalnej na posiedzeniach komisji. W ten sposób uniknięta będzie możliwość subiektywnego ustosunkowania się do kandydatów. „Niemcy” przy tej wysyłce nie są brani w rachubę. W lokalu I rewiru zorganizowane zostało specjalne biuro, które na podstawie wniosków ze Sądu, Urzędu Śledczego, więzienia, układa listy. Biuro to ściśle współpracuje z biurem adresowym, które ustala adresy kandydatów do wysyłki oraz adresy ich rodzin. Wiadomość o mającym

nastąpić wysiedleniu wywołała w getcie deprymujący nastrój. Jak to już zwykle się dzieje, gdy na getto spada jakiś nowy cios, wieść ta została przez złośliwe i nieodpowiedzialne języki wyolbrzymiona i przejaskrawiona.

*Kronika getta łódzkiego/Litzmannstadt Getto 1941–1944, tom I: 1941, oprac. i red. nauk. Julian Baranowski [i in.], Łódź 2009, s. 388–389.*



## ***Obwieszczenie Przełożonego Starszeństwa Żydów w getcie łódzkim o konieczności bezwzględnej wykonania nakazu stawienia się w wyznaczonym terminie i miejscu celem przesiedlenia***

### **OBWIESZCZENIE Nr 355<sup>12</sup>**

Dotyczy:

Wysiedlenia z łódzkiego getta.

Niniejszym wzywam osoby wyznaczone do wysiedlenia do bezwzględnie punktualnego stawienia się w wyznaczonym im czasie i miejscu zbiórki.

Te osoby, które nie stawiają się dobrowolnie, będą przymusowo doprowadzone, także jeżeli nie będą przebywały w swoich mieszkaniach, stąd gdzie będą znalezione.

Przypominam moje obwieszczenie nr 347 z 30.12.1941 r.

I ostrzegam po raz ostatni mieszkańców getta przed przyjmowaniem i pozwalaniem na nocowanie osób, które nie są zameldowane w ich mieszkaniach.

Jeżeli by osoby wyznaczone do wysiedlenia zatrzymały się u innych rodzin, aby w ten sposób uchylić się od wysiedlenia, to zostaną przymusowo wysiedlone nie tylko osoby wyznaczone do wysiedlenia, ale także rodziny, które osoby te przyjęły, jak również dozorczy tych domów.

Jest to moje ostatnie  
ostrzeżenie!

Łódź – getto  
14 stycznia 1942

Ch. Rumkowski  
Starszy Żydów w Łodzi

Archiwum Państwowe w Łodzi, Akta Przełożonego Starszeństwa Żydów, sygn. 166.

---

<sup>12</sup> Tekst w tłumaczeniu z niemieckiego.

## Odezwa do naszego przyszłego narodu (1 grudnia 1944 roku)

Odezwa do naszego przyszłego narodu

Określam wam życie narodu żydów z roku 1939 1 IX do 1 XII 1944 w jaki sposób nas gnębili<sup>13</sup>. Wzięto nas<sup>14</sup> od starca do niemowlęta między miasteczkami<sup>15</sup> Koło a Dąbie wzięto nas do lasu tam nas gazowano [?] rozstrzeliwano i spalili. Otóż prosimy aby nasi przyszli bracia [?] [?] na naszych morderców Niemców, świątkowie naszego gnębienia są polacy, którzy mieszkają w tej okolicy. Jeszcze raz prosimy o rozgłoszenie tego morderstwa na<sup>16</sup> całym świecie i do każdej redakcji. Pisali to ostatni żydzi którzy to<sup>17</sup>. Żyliśmy do Dnia 1 XII 1944 Zginęliśmy<sup>18</sup> Koledzy

Mówią świadkowie Chełmna, red. Łucja Pawlicka-Nowak, Konin – Łódź 2004, s. 32.

<sup>13</sup> Właściwie: was zagnębili (przyp. red.).

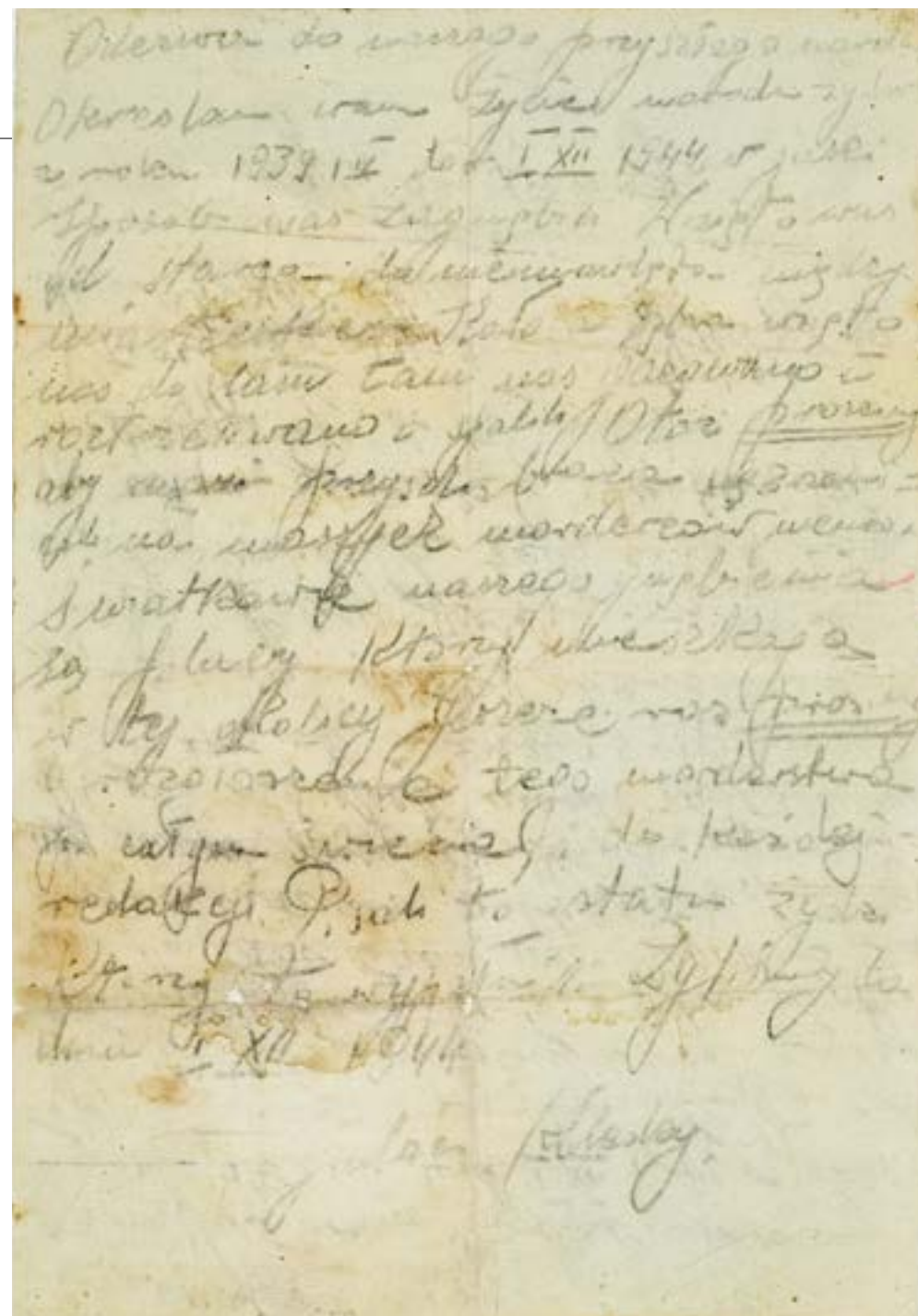
<sup>14</sup> Właściwie: was (przyp. red.).

<sup>15</sup> Właściwie: miasteczkiem (przyp. red.).

<sup>16</sup> Właściwie: po (przyp. red.).

<sup>17</sup> Raczej: to wypełnili (przyp. red.).

<sup>18</sup> Zapis nieczytelny, raczej: [?] Koledzy (przyp. red.).



## ***Świadectwo Jakuba Grojnowskiego<sup>19</sup>, przymusowego grabarza z Chełmna, złożone w warszawskim getcie w 1942 roku***

Okazuje się, że w pałacu są jeszcze inne pomieszczenia. Do naszej piwnicy weszło 20 osób, a do drugiej – 15. Więcej grabarzy wówczas nie było. Znalazłszy się w zimnej i ciemnej piwnicy, rzuciliśmy się na skąpą słomę i wybuchnęliśmy głośnym płaczem. Ojcowie płakali nad losem swych dzieci, których już więcej nie zobaczą. Jeden z więźniów, Moniek Halter, piętnastoletni chłopiec z Izbicy, objął mnie i szlochał, powtarzając: Ach, Szlojme, niech ja sam padnę, ale niechby moja matka i moja siostra przynajmniej ocalały. Meir Piotrkowski, lat 40, z Izbicy, mój towarzysz z barłogu, obejmował mnie, tulił, całował i mówił: Zostawiłem w domu ukochaną żonę i ośmioro dzieci. Czy je kiedykolwiek jeszcze zobaczę, co się z nimi stanie? – Gerszon Praszker, lat 55, z Izbicy, powiedział: Mamy wielkiego Boga i musimy się do niego modlić. Bóg nas nie opuści. Lecz mimo to musimy teraz wszyscy odmówić modlitwę przedśmiertną. – Ustawiliśmy się wszyscy w koło, a Gerszon Praszker w środku, i odmówiliśmy tę modlitwę. Powtarzaliśmy za nim z wielkim szlochem i łkaniem. Nastrój był bardzo wzniosty. Ponieważ Wachtmeister walił w drzwi i krzyczał: Hej, Juden, stillbleiben, sonst schiesse ich – łamiącymi się głosami, po cichu ukończyliśmy naszą spowiedź przedśmiertną.

O pół do ósmej wieczorem przyniesiono nam garnek niekraszzonej, zimnej zupy z brukwi. Nie mogliśmy przełknąć jedzenia, tylko cicho i gorzko płakaliśmy. Po pół godzinie przyniesiono czarną, gorzką, zaledwie ciepłą kawę i trochę z naszego chleba. I znowu z bólu i cierpienia nikt nie mógł jeść. Położyliśmy się na słomie, ale nikt nie mógł spać. Było zimno i nie mieliśmy żadnego przykrycia. Ktoś się odezwał: Kto wie, kogo z nas jutro zabraknie. W końcu, straszliwie wycieńczeni, przytuliliśmy się do siebie. Ogarnął nas koszmarny sen, pełen majaczeń. Spaliśmy około 4 godzin, potem z powodu zimna zerwaliśmy się, chodziliśmy w kółko po celi i rozmawialiśmy o okropnym losie, jaki nas czeka. [...]

Podczas obiadu doszła do mnie smutna wiadomość, że moi kochani rodzice i mój brat leżą już w grobie. O pierwszej byliśmy znów przy robocie. Starłem się podejść bliżej do zmarłych, by po raz ostatni przyjrzeć się moim najbliższym. Oberwałem przy tym zmarłą grudą ziemi od dobrodusznego Niemca z fajką, a „bykowiec” do mnie strzelił. Nie wiem, czy nie chciał trafić, czy też nie udało mu się, dość, że ocalałem. Nie zważając na ból, pracowałem bardzo szybko, aby zapomnieć choć na chwilę o straszliwej stracie. Zostałem sam, osamotniony na świecie, jak kołek. Z mojej rodziny, która liczyła sześćdziesiąt osób, jestem jedynym żyjącym. Przed wieczorem, gdyśmy grabarzom pomagali zasypywać zmarłych, odstawiłem w pewnym momencie szpadel i razem z Mechlem Podchlebnikiem po cichu odmówiliśmy kadisz. Przed wyjściem z wykopu zastrzelono trzech „dołowych”. O siódmej wieczorem odwieziono nas do celi. Ludzie z Izbicy byli zrozpaczeni. Zdaliśmy sobie sprawę, że

---

<sup>19</sup> Mowa o Szlamie Winerze, uciekinierze z obozu zagłady Kulmhof. Relacja została złożona w Konspiracyjnym Archiwum Getta Warszawy, tzw. Archiwum Emanuela Ringelbluma. Obejmuje okres od 5 do 19 stycznia 1942 r. Winer był pierwszym naocznym świadkiem, który złożył obszernie zeznanie o eksterminacji Żydów i Cyganów w ośrodku zagłady Kulmhof w Chełmnie nad Nerem.

nikogo z najbliższych za naszego życia już nie zobaczymy. Ja też nie panowałem nad sobą, nic mnie już nie obchodziło. Po modłach wieczornych wszyscy izbiczanie odmówili kadisz.

Gdyśmy dojechali do lasu, zobaczyliśmy około 14 przymusowych grabarzy z Kłodawy, którzy prawdopodobnie przybyli przed nami. Stali już i pracowali w samych koszulach. Wyglądało to tak: 21 osób z kilofami i szpadlami, z tyłu 8 ludzi z dwoma trupami, a wokół nas Niemcy z karabinami maszynowymi. Kłodawiacy też byli pilnowani przez około 12 żandarmów. Byliśmy zatem okrążeni przez 30 żandarmów.

Z chwilą gdy zbliżyliśmy się do dołu, ci z Kłodawy powitali nas szeptem: skąd jesteście? – Odpowiedzieliśmy: z Izbicy. – Oni pytają: widzicie jakie tu nieszczęście? Ilu was? Odpowiedzieliśmy: dwudziestu dziewięciu. – Rozmawialiśmy, nie przerywając roboty. Zrzuciliśmy oba trupy do dołu. Z samochodu przynieśli je tamci, co wciąż jeszcze nie otrzymali szpadli. Długo jednak nie musieli czekać, aż do nadejścia następnego samochodu z nowymi ofiarami. [...]

Samochód zatrzymał się w odległości około 5 m od grobu. Kierownik grupy strażniczej, esesman wyższej rangi, był wyjątkowym sadystą. Rozkazał owym ośmiu ludziom otworzyć drzwi samochodu i od razu uderzyła silna i ostra woń gazu. W samochodzie zabijano łódzkich Cyganów. Leżały tu ich rzeczy: harmonie, skrzypce, pierzyny, a nawet zegarki i złota biżuteria. Po odczekaniu około 5 minut przy otwartych drzwiach esesman krzyknął: Ihr Juden, herein und schmeisst alles raus [Żydzi, wejść do środka i wszystko wyrzucić]. – Żydzi podbiegli do auta i wyciągnęli zwłoki. Ponieważ początkowo robota nie szła im łatwo, nadzorujący esesman wyciągnął bykowca i wrzasnął: Hellblaue, ich komme sofort zu euch [Jasnoniebiescy, zaraz do was przyjdę] – bijąc po głowie, uszach, oczach, gdzie popadło, aż wszyscy zwalili się na ziemię. Kto nie potrafił się podnieść, natychmiast ginął, zastrzelony z broni maszynowej. Widząc to, pozostali resztkami sił starali się podnieść i podołać robocie.

W tym czasie usłyszano jakiś hałas na korytarzu, a grupa z sąsiedniego pomieszczenia piwnicznego przekazała nam przez ścianę, że Niemcy schwytali Żyda z Kłodawy. Nazajutrz opowiedzieli nam następujące szczegóły: schwytany przez Niemców Goldman z Kłodawy opisał dokładnie, w jaki sposób Żydów zapędza się do samochodu gazowego. Gdy ich prowadzono do pałacu, obchodzono się z nimi bardzo uprzejmie. Stary Niemiec, lat około 60, z długim cybuchem w ustach, pomagał matkom zdejmować z samochodu ich pociechy. Niemowlęta sam brał na ręce, aby matkom lżej było schodzić, pomagał starcom dojść do pałacu, jednym słowem wzruszał nieszczęsnych swą łagodnością i uprzejmością. Wprowadzono ich do ciepłego pomieszczenia, w którym grzały dwa piece. Podłoga wyłożona była drewnianą kratownicą, jak w łaźni. Tu ów stary Niemiec i oficer SS wygłosili przemówienie, zapewniając Żydów, że pojedą do getta w Litzmannstadt, będą tam pracować i staną się pożytecznymi ludźmi. Kobiety będą prowadziły gospodarstwo, dzieci pójdą do szkoły, jednak przed wyjazdem muszą się poddać dezynsekcji. W tym celu wszyscy mają się rozebrać i pozostać w samej bieliźnie. Rzeczy zostaną odparowane. Przedmioty wartościowe i dokumenty należy wyjąć, zawinąć w chustkę i oddać na przechowanie. Jeżeli kto ma pieniądze papierowe, schowane albo zaszyte w odzieży, winien je bezwzględnie wypruć, gdyż w przeciwnym razie ulegną spaleni w piecu. Ludzie muszą się wykapać. Stary Niemiec bardzo uprzejmie prosił wszystkich, żeby udali się do łaźni, i otworzył drzwi, za którymi prowadziło około 15–20 stopni w dół, lecz tam był już mróz. Niemiec łagodnie zapewniał, że dalej będzie cieplej. „Dalej” był dość długi korytarz, prowadzący na rampę. Podjeżdżał tam samochód gazowy. W tym momencie zniknęła cała łagodność. Z wściekłą brutalnością zapędzano ludzi do samochodu. Żydzi spostrzegli się, że zbliża się śmierć i rozpaczliwie wołali: Szma Israel. – Przy wyjściu z ciepłego pomieszczenia znajdowała się po prawej stronie mała komórka. Tam właśnie Goldman się ukrył. Po przesiedzeniu jednak

24 godzin na trzaskającym mrozie, postanowił, zupełnie już niemal skostniały, poszukać jakiegoś nakrycia. Złapano go i wtrącono pomiędzy grabarzy.

Po południu pogrzebaliśmy dalsze cztery transporty. Tego dnia nikogo z nas nie zabito. Po modłach wieczornych i kadiszu postanowiliśmy uciekać za każdą cenę. Nie mając grosza przy duszy, poprosiłem Kalmana Radziejowskiego z Izbicy o kilka marek. Wyciągnął zaszyte 50 marek i oddał mi je. Nad ranem usiłowałem wyrwać cegłę; tak silnie podziałał na mnie przykład Roja, który uciekł przez okienko piwniczne. Znow jednak nic nie wychodziło.

W poniedziałek, 19 I 1942, ładowaliśmy się do autokaru. Ja wszystkich puściłem przodem, sam zaś wszedłem ostatni. Żandarmi siedzieli z przodu, za nami zaś tego dnia żandarmi nie jechali. Po mojej prawej stronie było okienko, które otwierało się w prosty sposób. Odkręciłem je, do wozu wdarł się strumień powietrza. Przeraziłem się i z powrotem okienko zakręciłem. Ale moi koledzy, a zwłaszcza Moniek Halter, dodali mi odwagi. Zdecydowałem się, poprosiłem szeptem kolegów, by ustawili się tak, aby strumień powietrza nie wionął na żandarmów. Szybko odkręciłem okienko, wystawiłem nogi, zsunąłem się niżej, uchwyciłem się dłonią skrzyni, a stopy oparłem na zawiasach drzwi, powiedziałem kolegom, żeby natychmiast po moim wyskoczeniu zakręcili z powrotem okienko i runąłem w dół. Kilka razy przekoziółkowałem, przy czym obtarłem sobie rękę. Moim gorącym pragnieniem było, żeby nie złamać nogi. Wolałbym już złamać rękę, bo najważniejsze było iść przed siebie i dotrzeć do pierwszego żydowskiego osiedla. Spojrzałem, samochód jechał dalej. Nie zwlekając, puściłem się co tchu w piersiach na przełaj przez pola i lasy, aż po godzinie dobrnąłem do polskiej chaty. Wszedłem z pozdrowieniem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Zapytałem, jak daleko do Chełmna. Było tylko 3 km. Dostałem duży kawał chleba, który wsunąłem do kieszeni. Gdy opuszczałem chatę, chłop mnie spytał, czy nie jestem przypadkiem Żydem. Zaprzeczyłem śmiało, spytałem jednak, dlaczego mnie o to podejrzewa. Usłyszałem odpowiedź: W tym Chełmnie gazują Żydów i Cyganów. – Pożegnałem go polskim zwyczajem i odszedłem. Znow pomaszerowałem z godzinę i znow doszedłem do polskiej chałupy. Tu mnie poczęstowano białą słodką kawą i pajdą chleba. Domownicy mówili przy tym: w tym Chełmnie marnują Żydów i Cyganów, a jak z nimi skończą, to się do nas wezmą. – Roześmiałem się na to. Gospodarze wskazali mi drogę. Poszedłem więc dalej aż do niemieckiej wsi (niemieckie obejścia łatwo było odróżnić od polskich, bo były bogato wyposażone, a na dachach miały anteny). Wymogłem na sobie, że przejdę śmiało przez wieś. Dopiero na końcu trafiłem na polską chatę. I tu okazało się, że znajduję się 10 kilometrów od Grabowa, gdzie mieszkają Żydzi. Podałem się za polskiego rzeźnika, któremu spieszo do Grabowa do pracy. Gospodarz odesłał mnie do sąsiedniej wsi, do niejakiego Grabowskiego, który ma konia z wozem i mógłby mnie odwieźć. Trzymałem się bez przerwy polnych bezdroży, musiałem jednak przebyć kawałek drogi szosą. W pewnej chwili zauważyłem wojskowy samochód. Krew mi odpłynęła z serca. Widziałem się już złapany przez Niemców. W ostatnim momencie chwyciłem pod rękę przechodzącą właśnie wieśniaczkę i skręciłem z nią w boczną drogę, pytając kobieciny, czy nie ma przypadkiem masła do sprzedania. Samochód przejechał. Odetchnąłem z ulgą.

Przez cały czas wzywałem Boga i rodziców, by mi pomogli ocalić naród żydowski. U Grabowskiego przedstawiłem się jako Wojciechowski, który jedzie do Grabowa do roboty. Okazało się, że gospodarz jedzie na targ do Dąbia. Również sąsiad, do którego mnie odesłał, już wyjechał na targ. Uszedłem więc dalej sporo drogi, wciąż myśląc o wielkim pechu, który mnie prześladowuje. Rozpytywałem się o drogę, wystrzegając się posterunków żandarmerii, nie miałem przecież przy sobie żadnych dokumentów. W końcu dotarłem do wioski, 7 kilometrów od Grabowa.

Nakłoniłem polskiego chłopca, by mnie za 15 marek odwiózł do miasteczka. Włożyłem jego kozuch i futrzaną czapkę i razem dojechaliśmy do Grabowa w poniedziałek 19 stycznia o drugiej po południu.

Żydzi wzięli mnie za volksdeutscha, nie miałem bowiem znaku hańby. Szukałem rabina. Byłem całkiem zarośnięty (w Chełmnie nie myto się i nie golono). Spytałem: Czy tu mieszka rabin? – Kim pan jest? – Rebe, przychodzę z zaświatów. – Wzrok jego mówił, że bierze mnie za wariata. Powiedziałem: Rebe, nie myśl, że zwariowałem czym niespełna rozumu. Jestem Żydem, przybyłem z zaświatów. Dokonywana jest zagłada narodu żydowskiego. Ja sam pogrzebałem całą gminę żydowską, w tym – moich rodziców, braci i całą rodzinę. Jestem zupełnie osierocony. – Mówiąc to, szlochałem. Rabin spytał: Gdzie się ich morduje? – Odpowiedziałem: W Chełmnie. Wszystkich truje się gazem w lesie i grzebie w jednej mogile.

Służąca (rabin jest wdowcem), o napuchniętych od płaczu oczach, przyniosła mi miskę z wodą. Zacząłem myć ręce. Rana prawej ręki odezwała się bólem. Gdy wieść rozeszła się po mieście, tłumy Żydów przyszły do rabina i ja im opowiadałem ze szczegółami o okrutnych zdarzeniach. Wszyscy płakali. Jadłem chleb z masłem, popijając herbatą, i odmówiłem modlitwę dziękczynną.

*Archiwum Ringelbluma*, t. 13. *Ostatnim etapem jest śmierć. Pomiechówek, Chełmno nad Nerem, Treblinka*, oprac. Ewa Wiatr, Barbara Engelking, Alina Skibińska, Warszawa 2013, s. 90–11.

## ***Fragment pamiętnika niemieckiego nadleśniczego Heinza Maya<sup>20</sup>, świadka eksterminacji Żydów w obozie zagłady Kulmhof***

W drodze powrotnej do mego leśnictwa przejeżdżałem przez Chełmno i stwierdziłem, że informacje Staegemeira w sprawie drewnianego płotu i posterunków odpowiadają prawdzie. W Chełmnie stał jeden za drugim szereg prowizorycznie pokrytych płachtami samochodów ciężarowych. Na wozach stłoczono kobiety, mężczyzn, również dzieci. Kiedy się na chwilę zatrzymałem, doszedł do mnie zaraz żandarm i powiedział grubiańskim tonem, że postój jest wzbroniony i że mam jechać dalej. Żandarmi nie robili dobrego wrażenia, wyglądali na ordynarnych i okrutnych.

W ciągu mego krótkiego postoju zobaczyłem, że pierwszy samochód ciężarowy dojechał do drewnianego płotu i że wówczas oba posterunki otworzyły bramę. Wóz zniknął na pałacowym dziedzińcu, a bezpośrednio potem inny zamknięty wóz opuścił dziedziniec i pojechał w kierunku lasu, po czym obydwie posterunki zaraz zamknęły bramę.

Nie było już teraz najmniejszej wątpliwości, że rozgrywa się tutaj rzecz straszliwa, jakiej ludzkość jeszcze nie znała. [...]

W drodze powrotnej znowu przejeżdżałem przez Chełmno, jakkolwiek nadkładałem przez to drogi, i przejeżdżając, stwierdziłem, że drzwi położonego obok pałacu kościoła katolickiego są szeroko otwarte i że w kościele leżą wielkie stopy używanej odzieży. Poza tym wszystko wyglądało tak jak poprzednio, w samym Chełmnie stał rząd autobusów załadowanych ludźmi, a na drodze do lasu wielkie zamknięte samochody ciężarowe. Wszędzie rozchodziła się ta sama wstrętna woń, którą poczułem po raz pierwszy przy przewróconym samochodzie. Znacznie później dowiedziałem się, że był to środek dezynfekcyjny przeciw tyfusowi plamistemu.

Wokół pałacu w Chełmnie mieszkali Niemcy i polscy chłopcy, którzy tam pracowali i dzień w dzień obserwowali te tajemnicze zajścia. [...]

Przejeżdżając drugi raz przez Chełmno, widziałem czterech młodych ludzi związanych w kostce cienkimi, stalowymi łańcuchami. Konwojował ich żandarm z karabinem. Ludzie ci byli wychudzeni i dreptali drogą z otępiąłym wyrazem twarzy<sup>21</sup>.

---

<sup>20</sup> Heinz May był niemieckim leśnikiem, kierującym pracą Nadleśnictwa Koło z siedzibą w Gaju (Kraj Warty, niem. *Reichsgau Wartheland*) od stycznia 1940 r. do stycznia 1945 r. Na terenie mu podległym, w tzw. rewirze 77, znajdującym się w granicach leśnictwa Ladorudz, poza jego wiedzą i zgodą, *Sonderkommando Kulmhof* utworzyło tzw. obóz leśny. Pamiętnik Maya zatytułowany *Die grosse Lüge. Der Nationalsozialismus, wie ihn das deutsche Volk nicht kennt. Ein Erlebnisbericht (Wielkie kłamstwo, Narodowy socjalizm w postaci nieznanego narodowi niemieckiemu)*, pisany w lutym 1945 r. jest ważnym źródłem informacji o pierwszym niemieckim obozie załady Kulmhof. Zawarte w nim zostały obserwacje i wiedza niemieckiego leśnika, naocznego świadka zbrodni, wykonującego na co dzień obowiązki służbowe.

<sup>21</sup> Mowa o więźniach żydowskich-przymusowych robotnikach przetrzymywanych w piwnicach pałacowych w Chełmnie.

Wśród ludności nie mówiono nic o tym, co się działo wewnątrz starego pałacu. A jednak to, co się tu rozgrywało, było publiczną tajemnicą. Kommando specjalnie urządzało wielkie pijatyki, podczas których wódka i koniak łały się strumieniami.

Najpierw zgładzono Żydów z powiatu Koło<sup>22</sup>. Wielu uciekło do innych powiatów. Okrutnego losu uniknęli tylko nieliczni, gdyż stopniowo przychodziła kolej na każdy powiat. Równocześnie przywożono do Chełmna Żydów z obozu łódzkiego, chorych na tyfus plamisty lub o to podejrzanych.

Kiedy w okolicznych wsiach nie było już Żydów, transportowano Żydów do Koła koleją szerokotorową. Stamtąd szli oni pieszo do starego budynku mieszczącego się przy należącym do majątku w Powierzy [właśc. w Powierciu – przyp. B.G.], skąd przewożono ich samochodami ciężarowymi do Chełmna.

Podczas ostrej zimy 1941/42 rozgrywały się potworne rzeczy. Widziałem kolumnę tych nieszczęśliwych istot maszerującą przez Koło: mężczyzn, kobiety, dzieci, starców. Za kolumną jechał wóz zaprzężony w konie, który miał zapewne zabierać tych, którzy nie mogli już iść. Niedaleko urzędu pocztowego widziałem, jak kobieta, która niosła na ręku małe, widocznie dopiero kilkumiesięczne dziecko, poślizgnęła się i upadła. Dziecko było bodaj już na pół zmarznięte, gdyż nie słyszałem żadnego krzyku. Ktoś z eskorty schwycił dziecko za jedną nóżkę i rzucił jak kłodę drewna na wóz.

Tych, którym ze strachu i zimna uginały się kolana i którzy nie mogli już dotrzymać kroku, popędzono brutalnymi uderzeniami kolbą.

Widziałem dwie ładne, dobrze ubrane dziewczęta, które wzięły między siebie starą, wychudzoną kobietę. Była to pewnie ich matka. Obie dziewczyny z trudem wlokły kobietę. Gdy kobieta nie mogła już dalej iść i upadła na drodze, obie starały się postawić ją znowu na nogi. Przez to pozostały trochę za kolumną. Jeden z konwojujących żandarmów natychmiast do nich skoczył i krzyknął: „Obrzydliwe żydostwo, chcecie może jechać!”

Przez wiele nocy przewracałem się na moim pościeliu, nie mogąc spać. Ten straszliwy obraz ciągle stał przed moimi oczyma.

Ludzie spoglądali z otępieniem na ulicę i oglądali się za tym smutnym pochodem. Niemcy i Polacy. Nie mogę pojąć, że ludzie ci nie krzykną głośno z oburzenia i nie rzucą się na tę bestię. [...]

Budując płot, rozmawiałem raz z pewnym starszym wachmistrzem żandarmerii. Jeśli dobrze pamiętam, nazywał się on Lenz<sup>23</sup>. Sprawiał wrażenie prostego, skromnego człowieka. Interesował mnie jego stosunek do całej sprawy jako człowieka, który od wielu miesięcy pracował przy tych potwornościach. Mówił o swojej służbie tak, jak gdyby wykonywał najbardziej przyzwoitą i uczciwą pracę. Opowiadał mi między innymi, że w ciągu pierwszej ostrej zimy 1941/42 praca była bardzo trudna, gdyż ziemia była głęboko przemarznięta i nie było jeszcze koparki i silnika. Wówczas zgładzono najpierw chorych na tyfus plamisty. Nie można było ich wykorzystywać do wyładowywania zwłok, gdyż byli zbyt słabi. Nie było innego wyjścia, jak zatrudnić przy tym młodych ludzi w wieku 14–16 lat. By uniknąć rozprzestrzeniania się choroby, musieli oni pracować

---

<sup>22</sup> Żydzi z Koła byli pierwszymi ofiarami obozu załady Kulmhof w Chełmnie nad Nerem. Ich deportacja do ośrodka nastąpiła w dniach 7–11 grudnia 1941 r. Było to ok. 2300 ofiar. D. Dąbrowska, tab. 12.

<sup>23</sup> Starszy wachmistrz i SS-Hauptscharführer Willi Lenz, niezwykle okrutny nadzorca obozu leśnego. Został powieszony przez więźniów podczas ostatecznej likwidacji obozu, w nocy z 17 na 18 stycznia 1945 r.



na placu bez odzieży. Temperatura wynosiła wtedy minus 20 stopni i mniej. Po otwarciu wozów, na pół skostniali chłopcy wdrapywali się do nich i kładli się na ciepłe zwłoki, aby się ogrzać. Musiał ich wyganiać za pomocą kija. [...].

W trakcie mojego ostatniego pobytu na polu z mogiłami, wówczas gdy wysiewano janowiec, Bothmann<sup>24</sup> pokazał mi młyn na kości. W baraku stał szereg pełnych worków. Bothmann powiedział do skutych ludzi, którzy tam pracowali: „Icek, przynieś garść mąki z worka”. Starszy człowiek pospieszył do jednego z worków i przyniósł dwie pełne garście śnieżnobiałej, drobno zmielonej mączki kostnej. Bothmann rzekł do niego: „Czy wiesz, co to jest?” Mężczyzna milczał, na co Bothmann znowu rzekł: „To są członkowie twojej rasy”. Człowiek ten powiedział z rezygnacją, cicho: „Cóż, co można zrobić”. Po wymowie poznałem, że też był Niemcem<sup>25</sup>.

Heinz May, *Wielkie kłamstwo. Narodowy socjalizm w postaci nieznanego narodowi niemieckiemu*, wstęp i oprac. tekstów Bartłomiej Grzanka, Chełmno nad Nerem 2020, s. 84–88, 95–97.

---

<sup>24</sup> Hans Bothmann był komendantem obozu zagłady Kulmhof od lutego 1942 r. do jego pierwszej likwidacji oraz po wznowieniu działalności ośrodka (1944–1945).

<sup>25</sup> Być może był to ktoś z Żydów niemieckich, deportowanych do getta łódzkiego jesienią 1941 r. m.in. z Berlina, Hamburga, Kolonii.

## ***Relacja o wysiedleniach z Koła na przełomie 1941 i 1942 roku, złożona w warszawskim getcie w styczniu – lutym 1942 roku przez byłego mieszkańca Kłodawy***

(Protokół o zajściach w okręgu kolskim)

W sobotę 5 grudnia 1941 r. o 11 rano przyjechało do landratury w Kole dwóch esesmanów z Poznania. Pół godziny później złapali na ulicy 30 zdrowych żydowskich mężczyzn i wywieźli ich samochodami. O godzinie 2 zaczęła się systematyczna akcja wysiedleńcza. Przeprowadzono ją w następujący sposób: według spisu ewidencji ludności dokonanego w magistracie oraz według alfabetu esesmani i żandarmeria chodzili od domu do domu, wyciągali na zewnątrz całe rodziny i gromadzili wszystkich w bet ha-midrachu. Tam zostali oni do poniedziałku rana. Żywność dostarczała gmina. Żydzi byli w rozpacz, ich czarne myśli krążyły wokół wysiedlenia. 7 grudnia, w poniedziałek rano, przyjechały ciężarówki i załadowano na każdą z nich po 50 ludzi. (Informacje te przekazał mi jeden mieszkaniec Bugaja o nazwisku Podchlebnik, który przypadkowo przebywał tego dnia w Kole, i którego później zgodzono się wypuścić). Oddzielnie ładowano ludzi i oddzielnie bagaże. Ciężko chorych kładziono na prześcieradła i z pomocą kilku osób umieszczono na samochodach. W piątek, 11 grudnia, odjechał ostatni transport. Znaleźli się w nim również przedstawiciele Gminy Żydowskiej. Wiadome było wszystkim, że wiozą ich do Chełmna (wsi między Kołem a Dąbiem, po niemiecku Kulmhof). My w Kłodawie wiedzieliśmy to z następującego źródła: zarządca komisaryczny „Vereinigte Holzhandlunden in Tonningen” – Gerardus Melchior – bałtycki Niemiec, który uchodził za przyjaciela Żydów, zaproponował komisarzowi gminy, który pracował u niego w firmie, aby ten pojechał do Koła i dowiedział się, gdzie są wywożeni Żydzi. Ten powrócił z wiadomościami, że Żydów wysyła się do Chełmna, gdzie ma powstać nowa osada, dla wszystkich Żydów z powiatu kolskiego. Całe miasteczko odetchnęło z ulgą. Wszyscy mieli w pamięci tragedię Żydów zagórowskich, a teraz mając w perspektywie bezpieczne miejsce zamieszkania (żydowska wieś Chełmno), chcieli już jak najszybciej poddać się wysiedleniu i urządzić się w nowym miejscu.

W poniedziałek, 14 grudnia, przeprowadzono akcję wysiedleńczą Żydów dąbińskich (około 900 dusz). Wszystkich umieszczono w kościele. Ponieważ zgodnie z ewidencją ludności miasteczka brakowało całkiem dużej liczby osób, po jednym dniu przetrzymywania w kościele zostali wszyscy zwolnieni. 17 grudnia, tzn. w czwartek, znowu wszystkich zagoniono do kościoła. Tym razem zebrano już prawie wszystkich Żydów. Z kościoła zostali samochodami wywiezieni do Chełmna, tak samo jak to miało miejsce w Kole. W międzyczasie Żydzi z pozostałych miasteczek robili wszystko, aby dowiedzieć się, co dzieje się z Żydami, których wywieziono do Chełmna. Zaniepokoił ich fakt, że w tamtym kierunku nie jeździły żadne transporty z żywnością. Przez polskich posłańców dowiedzieliśmy się, że Żydzi są przetrzymywani w pałacu w Chełmnie, a nie we wsi.

Pałac, podobnie jak otaczający go las, otoczony był esesmanami. Pościągcy nie widzieli, żeby z pałacu wychodzili jacyś Żydzi i nie było też w żaden sposób możliwe, aby tylu ludzi było zgromadzonych w jednym budynku (pałacu). Nasze miasteczko – Kłodawa – bez ustanku wysyłało pościągców do pałacu, aby dowiedzieli się o losie Żydów.

*Archiwum Ringelbluma, t. 9: Tereny wcielone do Rzeszy. Kraj Warty, oprac. Magdalena Siek, Warszawa 2012, s. 57–61.*

## ***Informacja na temat deportacji Żydów do Chełmna nad Nerem, spisana w 1945 roku na podstawie ustnej relacji Juliana Ostrowskiego, kolejarza z Kutna***

Imię i nazwisko Julian Ostrowski

Za czasów okupacji przebywał cały czas w Kutnie. Podany materiał jest oparty na własnych obserwacjach.

Ob. Ostrowski przewoził jako maszynista kolejowy Żydów przywiezionych z Łodzi do stacji wąskotorowej w Kole.

Pociąg ruchem wahadłowym woził specjalnie Żydów z Radogoszczy do Kutna, z Kutna do Koła. Woził około 1000 ludzi.

Przewożeni ludzie nie zdawali sobie sprawy z tego, co ich czeka. Może dlatego, że w wagonie szerokotorowym traktowani byli możliwie. Gehenna zaczynała się dopiero na stacji wąskotorowej w Kole, gdzie transport był oczekiwany już przez SS-manów i niemieckich kolejarzy ubranych w kombinezony i rękawiczki, uzbrojonych w automaty, pałki i rewolwery. Dalszą straż pełniły nieletnie dziewczęta z B.D.M. z chorągiewkami, aby nikt nie uciekał.

Przy przeładunku ludzi z pociągu szerokotorowego do węglarek wąskotorowych idących w kierunku Chełmna bandyci hitlerowscy rzucili się na ludzi w sposób niedający się opisać. Wyrzucano z pociągu, bito okrutnie. Zaraz na miejscu były wypadki połamania rąk, nóg, wytrącenia obojczyka i tu dopiero zrozumieli, że znajdują się na drodze prowadzącej do zagłady.

W węglarkach wysokości metra, po załadowaniu ludzi, gdzie zdawało się, że jest już i tak bardzo ciasno i że nikt tam nie wejdzie, o poruszaniu mowy nie było, kaci niemieccy stawali na buforach między wagonami i katując bestialsko drągami, kazali się Żydom tak skryć, by z metalowych węglarek ich w ogóle nie było widać.

Po upływie półtora roku zajechał ob. Ostrowski do magazynu kolejowego w Kole i tam zobaczył skierowane do Rzeszy 4 olbrzymie skrzynie o pojemności 10–12 m<sup>3</sup>, załadowane używanym obuwiem pochodzącym z Chełmna. Buciki były dziecinne, damskie i męskie. Oprócz tego znajdowała się tam cała masa paczek obuwia, ubrań, nawet lal [...] te były zaadresowane na adresy prywatne.

*Świadectwa Zagłady. Obóz w Chełmnie nad Nerem. Getto wiejskie Czachulec*, wybór dok., wstęp i oprac. Łucja Pawlicka-Nowak, przy współpr. Jolanty Adamskiej, Gdańsk 2014, s. 243–244.

## ***Relacja Wołkowicza, mieszkańca Dąbia nad Nerem, dotycząca sytuacji ludności żydowskiej miasta od września 1939 do wysiedlenia do obozu zagłady w Chełmnie w grudniu 1941 roku, złożona w warszawskim getcie po 26 stycznia 1942 roku***

Rewizje i prześladowania trwały aż do ostatniego dnia, tzn. do 14.12.1941 r., kiedy to zaczęły się tzw. „wysiedlenia”. Tego dnia burmistrz wezwał do siebie prezesa Judenratu pana Josefa Diamenta i poinformował go, że wszyscy Żydzi zostaną wysiedleni (było to rano). Później SA-mani i żandarmeria chodzili po mieszkaniach żydowskich i wyciągali z nich wszystkich Żydów (nawet chorych) na plac teatralny. Małe pakunki (plecaki), które wysiedleńcy, zgodnie z wcześniejszym zarządzeniem burmistrza mogli ze sobą zabrać, po drodze zostały zabrane przez żandarmów (trzeba było przejść blisko posterunku żandarmerii). Na placu ustawiono wszystkich alfabetycznie według nazwisk i podzielono na dwie grupy. Jedną grupę spędzono do teatru, a drugą do kościoła. Tam bili i męczeni spędzili całą noc. Rabina miasteczka wyciągnęli w nocy na ulicę, przystawili mu rewolwer do ucha i wystrzelili w powietrze. Potem zaprowadzili go do kościoła, wciągnęli go na ambonę i kazali krzyżeć, że sami Żydzi są winni wojny.

O 7 rano wszyscy zostali wypuszczeni. Oddano im skonfiskowane paczki, a także klucze do mieszkań. Mieszkania zastali prawie nietknięte. Wkrótce potem burmistrz rozkazał dostarczenie 6 mężczyzn do pracy w Chełmnie (wioska położona 4 km od Dąbia). Tych 6 mężczyzn (jak się później okazało) pracowało tam przy chowaniu zamordowanych, zagazowanych Żydów z Koła. Było to w szabat 14.12.1941 r. Niedzielę i poniedziałek wszyscy spędzili w domach. We wtorek 17.12.1941 r. znowu przyszedł rozkaz, że wszyscy Żydzi mają się stawić na placu teatralnym i znowu umieszczono wszystkich w teatrze i kościele. Tam przetrzymano wszystkich przez noc, bijąc i torturując. W środę 18.12 wszyscy, którzy znajdowali się w teatrze, zostali samochodami wywiezieni do Chełmna. Resztę, która była przetrzymywana w kościele, wywieziono w czwartek 19.12.1941 r.

W Chełmnie wszyscy Żydzi zostali zagazowani w samochodach, potem ciała zostały wywiezione do lasu rzuchowskiego (na lewo od drogi z Dąbia do Koła).

W niedzielę 9.12.1941 r. Żydzi dąbińscy dowiedzieli się o wywózkach z Koła. Judenrat wysłał do Koła posłańca (chrześcijanina), z listem, aby dowiedział się, czy to prawda. Posłaniec przyniósł pisemne potwierdzenie; w liście kolski Judenrat pisał, że już 7.12. zostało na ulicy schwytych 30 silnych Żydów i wysłanych do Chełmna. W szabat 8.12.1941 r. SA i żandarmeria rozpoczęła gromadzenie Żydów w bet ha-midraszu (według listy).

*Archiwum Ringelbluma, t. 9: Tereny wcielone do Rzeszy: Kraj Warty, oprac. Magdalena Siek, Warszawa 2012, s. 70–72.*

## ***Relacja Jakuba Waldmana<sup>26</sup> o wydarzeniach w Uniejowie w 1941 roku oraz w getcie Czachulec w 1942 roku, złożona 23 marca 1945 roku w Turku***

Na bolesne pytanie, kiedy, gdzie i jak się to rozpoczęło, które są tak ważne, a zarazem smutne dla nas wszystkich, opowiem w szczegółach to, co przeżywałem i widziałem na własne oczy. W czwartek 18 czerwca 1941 r. przyszło pierwsze zapotrzebowanie na mężczyzn żydowskich do naszego powiatu. W domach żydowskich był prawdziwy „Jom-Kipur”.

Ja wówczas byłem z całą rodziną w miasteczku, gdzie urodziłem się, tj. w Uniejowie. Z naszego domu miały pójść trzy osoby, ojciec, brat i ja. Pozostali członkowie rodziny żyli w rozpacz, widząc rozsypanie się naszego rodzinnego gniazda, a także planowaną zgubę naszego narodu, realizowaną konsekwentnie przez hitlerowską bandę. Po kilku godzinach tego samego dnia padł odmienny rozkaz: wstrzymano wywóz do obozu z naszego miasteczka. Nie jestem w stanie opisać radości w domach żydowskich i różnych krążących wersji i plotek. Mówiono o tym rozmaicie: niektórzy twierdzili, że Ameryka interweniowała. Ale niedługo to trwało, gdyż już w piątek dowiedzieliśmy się, że z sąsiednich miast naszego powiatu zabierano ludzi.

Tak przeszła w oczekiwaniu sobota przy tradycyjnym stole. Wtem nadjechało kilka aut z Poznania. Jak piorun z jasnego nieba uderzyło to w serca wszystkich i nikt od stołu w pierwszej chwili nie mógł się podnieść. Zaczęliśmy szykować na gwałt plecaki, mówiono bowiem, że jedziemy na dwa tygodnie do pracy. Wiadomość ta lotem błyskawicy szła z ust do ust. „Los, schneller verfluchte”, w trójkę łapiemy plecaki i od razu nas kolbami po łbach, i do szkoły na punkt zborny. Przy drzwiach przyjęto nas kolbami. Po mnie przyszedł mój majster, który mnie wyreklamował. Chciałem jeszcze przed odejściem choć jedno spojrzenie rzucić na moich najbliższych, czując, że to ostatnie spojrzenie, lecz i tu kolba okrutnego siepacza dosięgła mnie i straszne „Verschwind verfluchte Hund” wprost zaskoczyło mnie i obezwładniło. Wróciłem do domu i przez okna spozierałem na moich kochanych, którzy odjeżdżali na zawsze. Zaznaczam, że było to w dniu, kiedy kilka domów oddano nam do dyspozycji, po cztery lub pięć rodzin pakowano do jednego mieszkania.

Kazano nam zbierać „bebechy” i przenosić się na nowe miejsca. Przy drzwiach stali gestapowcy, między innymi Eisfeld, który rewidował każdą paczkę, zabierając, co mu się podobało, i katując. Większą część rzeczy musieliśmy zostawić, bo nie dano nam zabrać ze sobą. W Uniejowie mieliśmy do dyspozycji 6 chat, gdzie zaledwie jeden procent ludności mógł się zmieścić, resztę podwoły odwozły w pole i zrzuciły na ziemię.

---

<sup>26</sup> Jakub Waldman (1916–1945). Pochodził z Uniejowa, powiat turkowski. Jego ojciec Abram zmarł w więzieniu policyjnym i wychowawczym obozie pracy w Żabikowie, matka wraz z młodszym bratem zginęli w obozie zagłady Kulmhof. Wojenne losy Waldmana są niejasne. Przebywał w getcie wiejskim Czachulec, skąd prawdopodobnie, w czasie jego likwidacji i wywozu mieszkańców do Chełmna nad Nerem, uciekł. Po wojnie pracował w Starostwie Powiatowym w Turku. Jako członek Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce był inicjatorem pierwszego polskiego śledztwa w sprawie zbrodni popełnionych w obozie zagłady Kulmhof. 1 września 1945 r. został postrzelony w swoim mieszkaniu w Turku. Zmarł tego samego dnia. Okoliczności śmierci Waldmana nie są do końca jasne.

Nie zdążyliśmy nawet zagrać nowego miejsca, gdy znowu nadchodzi rozkaz z powiatu, że wszystkie miasta muszą być „Judenrein”. Nazajutrz rano stoją już pod domami żydowskimi podwody, na które pakujemy nasze łachy i wyjeżdżamy. Kto nie przeżył tego, nie jest w stanie wyobrazić sobie męki i rozpaczki kobiet, bo mężczyzn w naszym powiecie już nie było. Moja rodzina była jedną z najszczęśliwszych, dwóch było mężczyzn u nas, więc musiałem pakować rzeczy dziesiątek rodzin. Podwody odjechały do wsi Dzierżbotki w gminie Kowale Pańskie, gdzie miało być getto dla Żydów.

Wszyscy z resztkami łachów stoją pod lazurowym niebem, niektórzy idą do stodół, lękliwi, drżący i bojaźliwi. Broniąc się od zimna, wysiedleńcy budują sobie budki lub nory w ziemi. Dowiadujemy się, że w powiecie konińskim, gdzie były wysiedlenia we wsi Królików i Grójce, wysiedleńcy zniknęli z horyzontu, co potwierdzili Polacy, opowiadając, gdzie i jak wykańczali naszych braci. [...]

6 grudnia 1941 r. w nocy obstawili germańscy siepacze osiedla żydowskie przez SS, SA, NSDAP oraz Hitler-Jugend. Ludzie, spędzeni na jeden plac Czachulec-Bielawki, stoją i oczekują. Niemcy przeprowadzają selekcję z całym pietyzmem i szykanami. Wyglądało to tak tragicznie, że wprost nie da się to opisać. Kto na własne oczy tego nie widział, nie wyobraża sobie i nie jest w stanie pojąć tej straszliwej tragedii ludzkiej.

Rozłączaniu matek z dziećmi, mężów z żonami towarzyszy jęk i płacz tysięcy ofiar. Te jęki, choć tłumione rozkazem kata, rozrywają zbolące piersi. Pada nowy rozkaz. Kaci odprowadzają 1000 ludzi, między którymi była też moja najukochańsza matka. Rodzice matki, zostawieni w lesie, uratowali się wraz ze mną. [...]

Sformowaną kolumnę zaprowadzono do kościoła w Dobrej, wpuszczając ich i wpychając jak zwierzęta na łeb i szyję, a duszące się ofiary dobijano. Na miejscu w tym łagrze pozostało bardzo dużo ofiar. Nikomu nie było wolno wyjść. Ktokolwiek odważył się wyjść z kościoła, był zabierany z pierwszym transportem.

W każdym domu panował smutek. Każdy widział, że grunt pod nogami naszego narodu usuwa się.

Ja, wałęsając się całe dni, nie mogłem i nie miałem odwagi wejść do głuchego domu, gdzie panuje smutek i żal. Wieczorem przyszedłem, patrzę i słyszę płacz siostry i braciszka, na widok czego krajało mi się serce na kawałki. A kiedy braciszek zapytał mnie: „Jakubie, czy naprawdę matki już więcej nie zobaczymy, czy zostaniemy sierotami bez niej i ojca?” – wtedy nie mogłem powstrzymać cisnących się łez i postanowiłem w nocy pójść do Dobrej. Nad rankiem znalazłem się w Dobrej, gdzie masa żandarmów stała obok kościoła.

Założyłem sobie opaskę jako policjant żydowski i poszedłem pod kościół, kręcąc się kilka minut, aż nareszcie żandarm kazał mi pójść po wodę, gdyż dużo ludzi mdlało w kościele. Zniosłem wodę z wiadrem na środek kościoła, a co ujrzałem tam, jest wprost nie do opisanego. Stosy trupów kobiet walały się na posadzce, a płaczące dzieci ogarniały przerażonym wzrokiem tę gehennę, ten grób swoich matek. Byłem tam długo, aż znalazłem matkę swą i dałem jej trochę wody. Z trudem ją rozpoznałem, uspokoiłem, że pójdzie do domu, że wszystko będzie dobrze. W tej chwili przyjechał główny kat z Kolonii, gestapowiec Stoss, i jak by było przeglądał te nieszczęśliwe ofiary. Skoro nadeszła moja matka, podszedłem doń i poprosiłem, aby ją zwolnili. Prośba moja poskutkowała. W tej chwili byłem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Zabrałem matkę z kościoła na furmankę i podwiozłem do domu, a ja z powrotem wszedłem do kościoła, aby jeszcze kogoś uratować. Widząc, że żandarmi mnie obserwują, oddałem swoją opaskę policyjną memu koledze, Józefowi Kibelowi. Opaska była taka szczęśliwa, że on wy dostał stamtąd żonę i dziecko, i rodziców Zygmunta Chałoma i Żarnowieckiego Szmula, którzy także wy dostali swoje matki. [...]

Nadeszły pamiętne grudniowe sobota i niedziela, kiedy pierwsze auta gazowe ukazały się w Dobrej i zabrały pierwszy transport nieszczęśliwych ofiar do obozu śmierci w Chełmnie. Niejaki Hersz Majer Szmul, którego brat Abram Szmul jest w Palestynie, chcąc ratować swoją matkę i siostrę z dzieckiem, został zabrany wraz z tysiącem innych osób.

*Świadectwa Zagłady. Obóz w Chełmnie nad Nerem. Getto wiejskie Czachulec*, wybór dok., wstęp i oprac. Łucja Pawlicka-Nowak, przy współpr. Jolanty Adamskiej, Gdańsk 2014, s. 405–409.



## ***Wspomnienie Jehoszui Eibeshitza<sup>27</sup> z pobytu w getcie wiejskim Czachulec<sup>28</sup>***

### ***Getto Kolonia<sup>29</sup>***

W jaki sposób Kolonia różniła się od innych gett i dlaczego tak mnie ujęła? Po pierwsze – jak wcześniej wspomniałem – dzięki otaczającej ją przyrodzie. Po drugie – dzięki ludziom, mieszkańcom, którzy mnie zafascynowali. Nie pogrążyli się w depresji, jak mieszkańcy getta Koźminek. Tutejsi mieszkańcy nie karmili się złudzeniami, ale zachowali optymizm. Przyjmowali rzeczywistość z uśmiechem i wyrozumiałością. Czasem śmiali się z kłopotów i złego losu. Żyli w stałym zagrożeniu. Obawiali się Niemców, Judenratu i wielu innych drobnych rzeczy, przyprawiających o bicie serca. Zarazem jednak w Kolonii, doświadczającej tych samych kłopotów co wszędzie, nie tracono nadziei i oddychano nieco swobodniej. Mieszkańcy również martwili się o przyszłość, lecz przyjęli narzucone przez Niemców zniewolenie i wierzyli, że jeszcze nadejdą lepsze dni. Dniami i wieczorami czytali Torę. Dominującym autorytetem w Kolonii byli rabini, których zdania szanowali i przyjmowali wszyscy mieszkańcy miasta. [...]

Pomimo opłakanych warunków życia mieszkańcy Kolonii zawsze witali serdecznie i ze współczuciem uchodźców z innych gett – tak jak mnie. Dzielili się nawet z obcymi ostatnią kromką chleba. Skupiali się bardziej na życiu duchowym niż potrzebach fizycznych. Żydzi z Kolonii dniem i nocą studiowali Torę oraz wznosili żarliwe modły do Wszechmogącego.

Zyskałem tam wielu przyjaciół, ale z nikim nie zawarłem tak głębokiej przyjaźni, jak z reb Josifem Buninem Jachimowiczem. Niezwykłe go poważałem i nigdy nie opuszczałem jego wykładów, które prowadził w domu reb Menachema Herszfinkela. Często odwiedzałem mego przy-

---

<sup>27</sup> Jehoszua Eibeshitz urodził się w 1916 r. w Wieluniu w znanej rodzinie rabinów. Po zbombardowania jego rodzinnego miasta przez Niemców w 1939 r. uciekł do Kalisza, a potem przebywał kolejno w Stawiszynie, Warszawie, Łodzi, Kaliszu i Koźminku, gdzie w utworzonym tamtejszym getcie przebywało około 1000 Żydów. W 1942 r., na wiadomość o mających nastąpić deportacjach, uciekł do getta wiejskiego w Czachulcu. Złapany, został wywieziony do obozu pracy przymusowej dla Żydów Schwanningen (Swarzędz). Przebywając jeszcze w getcie łódzkim, został deportowany do Częstochowy, gdzie pracował w fabryce amunicji. Tam też doczekał wyzwolenia. Po wojnie podróżował po Europie, poszukując bliskich. Osiadł na stałe w Izraelu. Publikował teksty dokumentujące Zagładę.

<sup>28</sup> Getto Czachulec – getto wiejskie utworzone 2 października 1941 r. w powiecie turkowskim, na terenie 16 wsi. Nazwa pochodzi od centralnie położonej wsi Czachulec Nowy. Getto zamieszkiwało około 4 tysięcy osób, głównie Żydzi wysiedleni z Turku. Getto Czachulec zlikwidowano w lipcu 1942 r., a jego mieszkańcy zostali deportowani do Chełmna nad Nerem i tam zamordowani.

<sup>29</sup> Powszechnie używana nazwa getta Czachulec.

jaciela reb Pinche Weisa, on jednak stracił pogodę ducha. Zamiast młodego, pogodnego człowieka, znanego mi z dawnych czasów, widziałem teraz wielkiego uczonego Tory, który wydawał się nieść na swoich barkach wszystkie troski świata. Nie dbając o siebie, poświęcił się całkowicie pomocy swym współpracownikom. Niewiele mówił, ale dużo płakał w czasie modlitwy. [...]

Choć wspólnota żydowska była mała, a żywności brakowało, pod wpływem reb Pinchesa ludzie dzielili się, czym mieli. Co zdumiewające, ci ubodzy Żydzi wysyłali do obozów paczki dla żydowskich więźniów. To było działanie wspólne. Najpierw mieszkańcy Kolonii zbierali wśród siebie pieniądze, by kupić jedzenie od okolicznych wieśniaków, choć nawet kontakt z nie-Żydami groził śmiercią. Nie odstraszyło to kobiet z Kolonii, które wymykały się do pobliskich wiosek i kupowały żywność przeznaczoną na paczki, a gdy zostały przyłapane, szef Judenratu Herszel Zimnawoda nie spoczął, dopóki nie uzyskał ich zwolnienia.

Kiedy zgromadzono zapasy, dziewczęta z Kolonii dzieliły, ważyły i pakowały jedzenie do paczek. Potem musiały czekać na kogoś, kto zanieśie paczki Polakowi, który – za dużą opłatą – pod swoim imieniem wyśle je pocztą.

Zacząłem zdawać sobie sprawę, jak ważne były te paczki, gdy sam znalazłem się w obozie koncentracyjnym Schwanningen w okolicach Poznania. Taka paczka oznaczała życie i mimo że w większości obozów niemieccy oprawcy nie dostarczali tych paczek głodującym Żydom. Komendant obozu Schwanningen Schultz konfiskował wszystkie paczki z żywnością i przechowywał je, dopóki jedzenie nie popsuło się i spleśniało. Wtedy oddawał je do kuchni jako wkładkę do naszej zupy.

Porównanie głębi współczucia i poświęcenia mieszkańców Kolonii z ogromem zła Niemców dużo mówi o Żydach i obu tych narodach.

*Świadectwa Zagłady. Obóz w Chełmnie nad Nerem. Getto wiejskie Czachulec, wybór dok., wstęp i oprac. Łucja Pawlicka-Nowak, przy współpr. Jolanty Adamskiej, Gdańsk 2014, s. 447–451.*

## ***Wspomnienie Jehoszui Eibeshitza o przygotowywaniu list transportowych<sup>30</sup> w getcie wiejskim Czachulec***

### ***Listy w Kolonii<sup>31</sup>***

Kolonia różniła się od innych gett nawet w sposobie przygotowania list do „selekcji” czy „deportacji”. W innych gettach listy deportacyjne były przygotowywane przez Judenrat<sup>32</sup> w wielkiej tajemnicy, natomiast w Kolonii był to proces jawny, w którym kierowano się wskazaniem rabinów zgodnymi z Halachą, a listy wywieszano w Judenracie, gdzie ludzie mogli je sprawdzić i wybrać, na której chcieli się znaleźć. Każdy mógł zdecydować, jak chce zostać zapisany, chociaż przecież nikt nie znał do końca prawdziwego znaczenia konkretnej listy ani ryzyka związanego z udzieleniem żądanych informacji. Poniżej przedstawiam opowieść o stworzeniu pierwszej takiej listy w Kolonii, tak jak ją poznałem później.

We wtorek 4 listopada 1941 r. szef Judenratu Herszel Zimnawoda zaprosił do siebie rabinów na naradę. Landrat polecił Judenratowi niezwłocznie przygotować szczegółową listę wszystkich Żydów z Kolonii, a przy każdym nazwisku postawić literę „P” lub „U”. nikt jednak nie wiedział, co te litery miały oznaczać. Niemcy polecieli Zimnawodzie zaliczyć do kategorii „U” dzieci, chorych i niesprawnych. Mimo wszystko jednak nikt nie przewidział, że „U” oznacza śmierć, gdyż nikt jeszcze nie przyjął do wiadomości przerażającego faktu, iż Niemcy planują wymordowanie Żydów.

Po usłyszeniu relacji szefa Judenratu rabini zadrżeli. Ogarnęło ich złe przeczucie, że Niemcy planują zrobić z Żydami coś strasznego. Chociaż w tamtym czasie nikomu nie przychodziła jeszcze do głowy zagłada, wszyscy przeczuwali, że jest to kwestia życia i śmierci. Niektórzy rabini proponowali, by odmówić sporządzenia listy. Zimnawoda odparł, że zastanawiał się nad tą możliwością jeszcze w Turku. Kiedy powiedział Niemcom, że być może nie zdoła przygotować takiej listy, odpowiedzieli: „Jeśli jej nam nie dostarczysz, postąpimy według własnego uznania”.

Dla rabinów był to pierwszy przypadek, kiedy musieli rozstrzygnąć problem życia i śmierci. Dotyczący całej wspólnoty. Teraz mieli wydać wyrok na każdego mieszkańca, opierając się na zasadach Halachy. Podjęcie decyzji odłożyli na następny dzień, środę 5 listopada, o 10 rano. Tej nocy nikt z nich nie spał. O świcie zanurzyli się w rzece, a na spotkanie przyszli po posiłku. Ich poważne zachowanie wywołało domysły wśród mieszkańców, że nad ich głowami zawisła katastrofa.

---

<sup>30</sup> Listy zawierające nazwiska osób przeznaczonych do deportacji.

<sup>31</sup> Potoczna nazwa getta Czachulec.

<sup>32</sup> Rada stojąca na czele gminy żydowskiej na okupowanych terytoriach polskich. Rady powołane zostały zgodnie z dyrektywą Reinharda Heinricha z 21 września 1939 r.

Równy o godzinie dziesiątej członkowie Judenratu oraz rabini zebrali się w domu reb Pinche Weisa i ogłosili ten dzień dniem modlitwy, odmawiania Tehilim (psalmów) oraz jałmużny. Narada trwała do późnej nocy. Rabini poprosili Herszela, by wyjaśnił im znaczenie liter „P” i „U”. „Gdybyśmy mieli jakiegokolwiek pojęcie o tym, czego od nas żądają, moglibyśmy domyślić się, co Niemcy planują z nami zrobić i łatwiej byłoby nam podjąć decyzję”. Lecz Zimnawoda mógł jedynie powtórzyć to, co powiedział im dzień wcześniej. Pojawiło się wiele propozycji, lecz żadnego rozwiązania. W końcu rabini postanowili spotkać się ponownie kolejnego dnia.

Następnego poranka znów rozpoczęły się narady. Napięcie rosło z godziny na godzinę, w miarę jak rabini zagłębiali się w księgi praw i przywoływali coraz to nowe przepisy.

Czy Żyd może z własnej woli współpracować z Niemcami, jeśli wie, iż prowadzi to do skrzywdzenia innego Żyda? Czy fakt, że jest do tego zmuszony, cokolwiek zmienia? Czy jednak powinien w jakiś sposób stawić opór?

Napięcie w Kolonii sięgało zenitu, wszystkie oczy zwracały się na dom raw Pinche Weisa. Z pobliskich wsi przybywali posłańcy, by poznać decyzję rabinów. Rabini przedstawili w końcu następujące zalecenia.:

- a. należy przygotować listę (spełnić żądanie Niemców),
- b. przed przesłaniem jej Niemcom Judenrat ma przedstawić listę rabinom,
- c. lista ma mieć następujący porządek: 1) liczba porządkowa, 2) nazwisko, 3) imię, 4) wiek, 5) litery „P” bądź „U”.

Judenrat umożliwi każdemu wgląd w listę i zapewni wybór kategorii, do jakiej dana osoba chce zostać zaliczona.

Kiedy wreszcie Judenrat sporządził listę, wybuchło pandemonium. Ludzie popędzili do siedziby Judenratu, by sprawdzić, jak ich oznaczono, i zmienić podany na liście wiek najbliższych: starszych odmładzano, a młodszym dodawano lat. Nie wiedząc, co właściwie będzie lepsze, ludzie poprawiali własne dane po kilka razy. Zanim Niemcy zaakceptowali listę, Judenrat musiał ją jeszcze kilkakrotnie przepisywać, by pozbyć się skreśleń.

*Świadectwa Zagłady. Obóz w Chełmnie nad Nerem. Getto wiejskie Czachulec, wybór dok., wstęp i oprac. Łucja Pawlicka-Nowak, przy współpr. Jolanty Adamskiej, Gdańsk 2014, s. 451–453.*

## **Zofia Nałkowska, Człowiek jest mocny**

Pałac, którego już nie ma, stał na samym skraju wzgórza, ponad rozległym widokiem na wiosenny kraj, gładki po horyzont, podzielony równo zielonymi polami. Pałac roztrzaskał się, jak mówi Michał P. Został wysadzony w powietrze o tym samym czasie, gdy w pobliskim słynnym lesie Żuchowskim<sup>33</sup> spłonęły cztery krematoria. Był użyty jako dekoracja, jako wspiana brama architektoniczna wiodąca z życia do śmierci. Grał rolę metafory w tym obrzędzie, który odbywał się tu przez długi czas z nieodmiennym codziennym ceremoniałem. Ludzie zmęczeni drogą, jeszcze żywi, jeszcze będący sobą, we własnych ubraniach podróжных, mijali jedną i drugą bramę i wjeżdżali na wewnętrzny dziedziniec rezydencji. Z ciężarowego samochodu odpadały tylne drzwi, podróżni, pomagając sobie nawzajem, wstępowali tłumnie po stopniach schodów, mogąc jeszcze mniemać, że – według napisu nad wejściem – wchodzi do Zakładu Kąpielowego. Po pewnym czasie, przebywszy w poprzek wnętrza gmachu, ukazywali się na ganku po jego stronie przeciwnej już tylko w białym – niektórzy jeszcze z kawałkiem mydła i ręcznikiem w dłoni. Przynaglani do pośpiechu, uchylając się od uderzeń kolbami, wbiegali bezładnie po kładce w czeluść ustawionego tyłem do pałacu, wielkiego jak wagon meblowy, auta gazowego. Drzwi hermetyczne zatrzaśkiwały się z łoskotem. Teraz dopiero ludzie o innym przeznaczeniu, siedzący w piwnicach pałacowych, mogli słyszeć wielki krzyk przerażenia. Zamknięci w pułapce wołali na pomoc, bili pięściami o ściany wozu. Po kilku minutach, gdy krzyki ucichły, maszyna odjeżdżała. O czasie właściwym na jej miejsce przychodziła nowa. Pałacu już nie ma. I nie ma tych ludzi. Na krawędzi wzniesienia pozostał płaski czworobok odmiennej roślinności, wypełzającej łodygami i liśćmi spomiędzy drobnego gruzu, ograniczony przyziemnymi szczątkami murów. I został pod urwiskiem w dole wielki obszar widzianego świata – dalekie zielone pola, majowe drzewa nad łąkami, zachodzące na siebie błękitne smugi lasów na widnokręgu. W słońcu zebrała się na miejscu dawnych ogrodów grupka ludzi. Każdy może powiedzieć, co się tu działo. Naokoło pałacu wystawili parkan drewniany, wysoki na trzy metry. Zobaczyć można było niewiele. Ale można było słyszeć, jak coś wywlekali, jak szczękały łańcuchy. W straszny mróz Żydów wyganiali w koszulach. Przed pałacem wciąż huczały wielkie maszyny i wykręcały do Żuchowskiego<sup>34</sup> lasu. Krzyki ludzkie też było słychać.

– Ja mieszkałem w Ugaju, pracowałem u Niemców. Tak mówi Michał P., młody, wielki Żyd atletycznej budowy, o małej głowie. Mówi niegłośno, spokojnie, ale jednak uroczyście, jakby recytował tekst święty.

– Zaprowadziłem do samochodu mojego ojca i moją matkę. Później zaprowadziłem moją siostrę i jej pięcioro dzieci i mojego brata z żoną i trojgiem dzieci. Chciałem pojechać ochotniczo z rodzicami, ale mi nie pozwolili. Mieli do tego powody.

– Pracowałem wtedy przy rozłożeniu starej stodoły z polecenia Komitetu Żydowskiego w Ugaju, więc nie byłem w spisie, kiedy wywozili Żydów z Koła. Niektórzy się bali. Wtedy Siuda, żandarm wojskowy z polskich folksdojczów, powiedział im: „Nie bójcie się, zawiozą was na stację

---

<sup>33</sup> Właściwie: rzuchowskim (przyp. red.)

<sup>34</sup> Właściwie: rzuchowskiego (przyp. red.)

Barłogi, a stamtąd pojedziecie dalej do roboty". Więc się nie bali. Niektórzy nawet sami chcieli jechać. Żydów z Koła wywozili przez pięć dni. Na końcu wywieźli Żydów chorych, ale szoferom kazali jechać z nimi wolno i ostrożnie. Na początku stycznia 1942 roku zabrali mnie w Ugaju razem z czterdziestoma innymi Żydami na posterunek żandarmerii. Na drugi dzień zajechał samochód ciężarowy z Izbicy i w tym samochodzie było piętnastu Żydów z Izbicy. Załadowali nas razem z nimi i zawieźli do Chełmna. Wszyscy w tym samochodzie to byli ludzie silni, zdolni do najcięższej pracy. Wspaniałym gestem ręki ukazał miejsce, gdzie przez liście widać było gruzy. – Tam pałac jeszcze stał. Byłem ciekawy, jak to wygląda. Ale nam patrzeć nie dali. Kiedy samochód wjechał w drugi dziedziniec, odsunąłem płachtę i zobaczyłem, że na ziemi leżą używane ludzkie łachmany. To już wiedziałem, co się dzieje. Z samochodu przepędzili nas do piwnicy. Poganiali kolbami. Na ścianie było napisane po żydowsku: „Kto tu przychodzi, każdy ma śmierć”. Na drugi dzień zawołali mnie na górę, żeby wynosić z drugimi ubranie. W dużym pokoju były rzucone na podłogę różne łachy mężczyzn i kobiet, palta i buty. To trzeba było przenosić do drugiego pokoju. A tam już leżało tego... Buty układaliśmy w osobną stertę. W tym pierwszym pokoju, gdzie rozbierali się Żydzi, stały dwa piece, dobrze napalone. Było ciepło, żeby się chcieli łatwo rozbierać. W piwnicy okna mieliśmy zabite deskami. Ale jak jeden drugiego podsadził, można było przez szparę coś widzieć. Niemcy wyganiali ludzi przez ganek tylko w białiznie. To oni nie chcieli wychodzić na mróz bez ubrania. Zobaczyli już, co jest, zaczęli się cofać. Wtedy Niemcy ich bili i wpędzali do auta. Ci, co przychodzili do piwnicy z pracy na noc, powiedzieli, że w lesie zakop ludzi uduszonych. Wtedy się podąłem do pracy w lesie. Myślałem, że z lasu można uciec. Zabrali nas trzydziestu, do samochodu, zawieźli do lasu Żuchowskiego<sup>35</sup>, dali łopaty i kilofy. O ósmej rano przyjechał pierwszy samochód z Chełmna. Kto pracował w rowie, nie wolno było obrócić się do samochodów, nie dali patrzeć. Ale widziałem. Niemcy – jak otworzyli drzwi – odskoczyli od auta. Ze środka szedł ciemny dym. W miejscu, gdzieśmy stali, nie czuć było żadnego zapachu. Potem weszło do auta trzech Żydów i oni wyrzucali trupy na ziemię. W aucie leżały jedne na drugich prawie do połowy wysokości. Niektóre trzymały się w objęciu. Takim, co jeszcze żyły, Niemcy strzelali w tył głowy. Po wyrzuceniu trupów auto odjeżdżało do Chełmna. Potem dwóch Żydów podawało trupy dwom Ukraińcom. Oni byli w ubraniu cywilnym. Wyrwali obcęgiem złote zęby trupom, z szyi im ściągali woreczki z pieniędzmi, z rąk zegarki, obrączki z palców. Obszukiwali trupy bardzo, aż do brzydlowości. Do tego czasu robili to we trzech. Ale akurat tego dnia jednego Ukraińca przy ładowaniu wepchnęli razem z Żydami, co ich miał rewidować. Jak auto przyszło do lasu, to tego Ukraińca rozpoznali i bardzo go chcieli odratować. Robili mu sztuczne oddychanie, ale już nie pomogło. Niemcy sami nie rewidowali trupów, ale zawsze dobrze patrzyli Ukraińcom na ręce przy tej robocie. A co tamci znaleźli, Niemcy wkładali do osobnej walizki. Białizny z trupów już nie kazali zdjąć. Po obszukaniu trupów kładliśmy je do rowu, na przemian, jednego głową przy nogach drugiego, bardzo ciasno, żeby się dużo zmieściło. Wszystkie obrócone twarzą do dołu. Im wyżej, tym rów był szerszy, pod wierzch mieściło się tak około siebie ze trzydzieści trupów. W trzech, czterech metrach rowu mieściło się tysiąc. Do lasu przyjeżdżał dziennie transport uduszonych trzynastą razy, w jednym samochodzie szło na raz do dziewięćdziesięciu. Żydzi oczyszczali podłogę samochodu, jak co złotego znaleźli, też oddawali do walizki. Mydła i ręczniki odchodziły z powrotem do Chełmna. Od początku namawiałem się z drugimi, żeby uciec. Ale ludzie byli za bardzo przynębieni. Praca nasza trwała cały dzień, póki się nie ściemniło. Przy pracy bili nas, żeby to szło prędzej. Jak który za powoli pracował, to kazali się położyć twarzą

---

<sup>35</sup> Jw.

na trupach i z rewolweru strzelali mu w tył głowy. Żandarmi, którzy nas pilnowali w czasie służby, byli trzeźwi. Byli zawsze ci sami. Z nami nie rozmawiali. Czasami nam, który rzucił do rowu paczkę papierosów. Raz przyjechało do lasu Żuchowskiego<sup>36</sup> trzech obcych Niemców. Rozmawiali z oficerami SS, oglądali razem zwłoki, śmiali się i odjechali. Dziesięć dni przepracowałem. Las nie był wtedy jeszcze ogrodzony, pieców do palenia trupów też jeszcze nie było. Przy mnie duszono Żydów z Ugaju, Żydów z Izbicy, w piątek przywieźli Cyganów z Łodzi, w sobotę Żydów z łódzkiego getta. Jak Żydzi z Łodzi przyjechali, to między nami zrobili Niemcy selekcję, dwudziestu słabszych oddali do gazu, a wzięli na to miejsce nowych, mocnych Żydów z Łodzi. Pierwszego dnia ci łódzcy Żydzi byli zamknięci w drugiej piwnicy i pytali się przez ścianę, czy dobry obóz, czy dają dużo chleba. Jak się dowiedzieli, co tu jest, to się przelękli i mówili: „A myśmy się sami zapisali do pracy”... Zamilkł na chwilę, coś w sobie ważył. Jego wielkie, kościste ciało ugięło się od wewnętrznego zmęczenia. Po namyśle powiedział tak:

– Jednego dnia – to był wtorek – z trzeciego samochodu, który przyjechał tego dnia z Chełmna, wyrzucili na ziemię zwłoki mojej żony i moich dzieci, chłopiec miał siedem lat, dziewczynka cztery. Wtedy położyłem się na zwłokach mojej żony i powiedziałem, żeby mnie zastrzelili. Nie chcieli mnie zastrzelić. Niemiec powiedział: „Człowiek jest mocny, może jeszcze dobrze popracować”. I bił mnie drągiem, dopóki nie wstałem. Tego wieczora powiesiło się w piwnicy dwóch Żydów. Chciałem się też powiesić, ale odmówił mię człowiek pobożny. Wtedy ugodziłem się z jednym, żeby razem uciec w drodze. Ale właśnie na ten raz on pojechał drugim samochodem. Więc już powiedziałem sobie, że ucieknę sam. Gdy wyjechaliśmy w las, poprosiłem konwojenta o papieros. Dał. Cofnąłem się, a inni go oblegli też o papierosy. Rozciąłem nożem płachtę przy szoferze i wyskoczyłem z samochodu. Strzelali za mną, ale nie trafili. W lesie strzelał do mnie Ukrainiec na rowerze, też nie trafił. Uciekłem. We wsi schowałem się do stodoły i zakopałem głęboko w sianie. Rano usłyszałem, jak pod ścianą mówili chłopci, że Niemcy są we wsi i szukają Żyda, który uciekł. Po dwóch dniach, nic nie jedząc, wykradłem się ze stodoły. W drodze zaszedłem do chłopa – nazwiska jego nie znam. Nakarmił on mnie, dał mi maciejówkę, ogolił, żebym wyglądał po ludzku. Od niego poszedłem do Grabowa i tam spotkałem tego Żyda, z którym się umawiałem. On uciekł tego samego dnia z drugiego samochodu. Przed odjazdem byliśmy w lesie Żuchowskim<sup>37</sup>, gdzie przy kopaniu ogromnych grobów zbiorowych pracował kiedyś Michał P. i gdzie rozpoznał zwłoki uduszonej swojej żony i dzieci. Na rozległej polanie, w ramie niskich, ciemnych, gęsto rosnących sosen leżały smugi słabiej zarosłej niskiej trawki. Nie było na nich zielonych gałązek wrzосу, łochiń ani paproci. W jednym miejscu dół był rozkopany i w sypkim, brudnym piasku widać było kawałek ludzkiej stopy. W głębi, gdzie las był wyższy, pokazywano miejsce po spalonych krematoriach. Dwie kobiety z tych okolic chodziły za nami po lesie. Zapoznawszy się z nami pytały, czy Komisja nie mogłaby przyspieszyć ekshumacji. Była to matka i żona człowieka, który w samych początkach istnienia obozu był tu rozstrzelany. Znały miejsce, gdzie był ten grób. Ktoś pokazywał znaleziony strzęp pudełka od zapalek z greckim nadrukiem, inny wymyte przez deszcze papierki z cudzoziemskimi firmami aptek. Ktoś na miejscu dawnego krematorium znalazł dwie malutkie kosteczki ludzkie.

Zofia Nałkowska, *Człowiek jest mocny*, [w:] tejże, *Medaliony*, Warszawa 1982, s. 56–62.

<sup>36</sup> Jw.

<sup>37</sup> Właściwie: rzuchowskim (przyp. red.).

## **List Szlamy Winer<sup>38</sup> z getta w Zamościu do Hersza Wassera<sup>39</sup> z getta w Warszawie w sprawie ośrodka zagłady w Bełżcu**

Zamość

### **Szanowny P. Wasser!**

Mogę panstwo donieść, że jestem, dzięki Bogu, zdrowy, to samo życzę i od Was słyszeć tylko dobrego, a co domnie, jestem w krytycznym położeniu, nie wiem sam, co zrobić, bo chętnie chciałbym się zobaczyć z p. Kohnem, to jest moje cale pragnienie

Sz. P. Wassergeminaniechce mnie nic pomódz, to ja bardzo pana proszę, a żeby był taki laskawy i natychmiastowo, żeby p. napisał, co domnie na razie nie mam prace i nie mam grosza pieniędzy, to ja bardzo pana proszę, żeby mi pan wysłał kilka złotych, żebym mógł się ratować z życiem. Od kuzyna z Lublina otrzymałem ukłony i od rodziny z Izbicy Lubelskiej również otrzymałem ukłony itd. Piszą mi, że cała rodzina znalazła się na cmentarzu, w taki sposób jak w Chełmnie. Proszę sobie przedstawić moją rozpacz, już nie mam siły do płaczu. Piszę już pewnie do Pana ostatni list i ja z pewnością też pójdę tam, dokąd poszli moi rodzice, i w taki sam sposób.

Szanowny Panie Wasser, niech mi pan poradzi, co mam zrobić, żeby się zobaczyć z panem Kohnem, a jak nie, to już się nigdy z Wami nie zobaczę. A chciałbym się koniecznie z Wami spotkać i opowiedzieć o swych przejściach i w ogóle o wszystkim. Cmentarz jest w Bełżcu. To jest ta sama śmierć, co w Chełmnie. Ukłony też otrzymałem od kuzynki, z którą się od dłuższego czasu nie widziałem. Ostatnio była w Rawie Ruskiej i też znalazła się na cmentarzu. Dziadek w Biłgoraju także mi dopiero co umarł, tak że nie mam już nikogo z rodziny. Proszę sobie wyobrazić moje zmartwienie, i co ja przechodzę. To nie tylko mnie się wydaje, że wkrótce się spotkam z panem Chaimem Rywenem Izbickim, to ja bym lepiej koniecznie chciał się zobaczyć z Wami. Co słysząc u Państwa? Co porabia Pańska żona? I tak dalej. Co słysząc u wszystkich moich znajomych?

Całuję Was wszystkich

Pozostaje Szlamek  
Szlamek

Ukłony dla wszystkich znajomych. Pozostaję z wysokim szacunkiem

*Archiwum Ringelbluma, t. 1: Listy o Zagładzie, oprac. Ruta Sakowska, Warszawa 1997, s. 130–131.*

---

<sup>38</sup> Chodzi o Szlamę Winer, który uciekł z ośrodka zagłady Kulmhof. W styczniu 1942 r. Winerowi udało się przedostać do Zamościa, gdzie w tamtejszym getcie przebywała jego siostra z dziećmi. List został napisany nie wcześniej niż 5, nie później niż 11 kwietnia 1942 r. Zachowano w nim pisownię oryginału.

<sup>39</sup> Hersz Wasser – wraz z żoną Blumą najbliżsi współpracownicy Emanuela Ringelbluma (1900–1944), historyka, pedagoga i działacza społecznego, prowadzącego w getcie warszawskim konspiracyjne archiwum dokumentujące losy Żydów na obszarze dawnej II Rzeczypospolitej od września 1939 r. do końca lutego 1943 r. Przed Wasserami, po swojej ucieczce z obozu zagłady Kulmhof, złożył relację Szlama Winer.



***List Abrama Bajlera<sup>40</sup> do Hersza Wassera w getcie warszawskim o stracie matki i wuja Szlamka w akcji likwidacyjnej, napisany 24 kwietnia 1942 roku w getcie w Zamościu***

Bajler  
Zamość  
ul. św. Piątka 21  
Distrikt Lublin

W.P.  
H. Wasser  
Warszawa  
ul. Muranowska 16 m

Zamość dn. 24/IV 1942 r.

Sz. P. Wasser.

Po otrzymaniu Pańskiej pocztówki śpieszę do Pana z odpowiedzią. Otóż Wujek już więcej nie przyjedzie, gdyż nie znajduje się więcej w Zamościu. Mija już dwa tygodnie, jak opuścił wraz z całą rodziną naszą Zamość. Na razie nie wiemy, gdzie się znajdują. Ja z moim młodszym bratem zostałem, bo byliśmy przy pracy.

Może Pan sobie wyobrazić sytuację naszą, jeżeli ja, 14-to letni chłopak, już zostałem bez żadnej opieki nad sobą i ja muszę się jeszcze opiekować młodszym bratem, ale jednak dajemy sobie radę. Lecz trudno, trzeba się jakoś pogodzić z losem.

U nas na razie nic nowego, kończę moje pismo, kłaniam się Panu

Abram

*Archiwum Ringelbluma, t. 1: Listy o Zagładzie, oprac. Ruta Sakowska, Warszawa 1997, s. 134.*

---

<sup>40</sup> Abram Bajler był synem siostry Szlamka, Feli.

## **List Edy Kadysz, jej matki i Ity Aronowicz do M. Kadysz w getcie warszawskim o zbliżającej się zagładzie, napisany 13 marca 1942 roku w getcie w Ozorkowie<sup>41</sup>**

Aronowicz  
Ozorków  
Feldstr. 15

An M. Kadysz  
Warszawa  
ul. Szczęśliwa 15/20

Drogie dzieci

Donoszę Wam, że jesteśmy zdrowi. Choroba cioci Tabaczyńskiej<sup>42</sup> pogarsza się. Mieszkamy w getcie u Ity Aronowicz. Już Wam w tym tygodniu napisałam odkrytkę i adres Feldstrasse 15, Ozorków; teraz Wam częściej piszę, chcemy się widzieć z Gucią, lecz nie mamy materiału<sup>43</sup>. Napiszcie nam częściej i my Wam będziemy pisać. Ewuni odkrytkę otrzymaliśmy, co nas bardzo cieszy. Grunt, że się jest zdrowym, czego i dla Was pragnę.

Całuję  
wasza mama

Ukłony dla całej rodziny. Ukłony dla Edzi. Osobne całusy dla Estusi i Ewy. Kochani Moi! Przy sposobności dołączam serdeczne ukłony

Ita

Drodzy moi. Jesteśmy strasznie zmartwieni z chorobą Cioci Dwojry. Chcemy jakoś sobie radzić, ale nie wiem, jak będzie. Nie umiem zebrać myśli, aby Wam coś więcej napisać. Serdeczne pozdrowienia dla kochanych dzieci  
Edzia

*Archiwum Ringelbluma, t. 1: Listy o Zagładzie, oprac. Ruta Sakowska, Warszawa 1997, s. 74–75.*

---

<sup>41</sup> Mieszkańców getta w Ozorkowie do obozu zagłady Kulmhof deportowano w pierwszej połowie marca 1942 r. – wywieziono wówczas 500 osób.

<sup>42</sup> Kryptoinformacja o zbliżającej się zagładzie. Ciocia Tabaczyńska zginęła prawdopodobnie w trakcie akcji likwidacyjnej społeczności żydowskiej w Kłodawie, która trwała w dniach 9–12 stycznia 1942 r.

<sup>43</sup> Brak pieniędzy.

***List Feli do rodziny w getcie warszawskim o zagładzie Żydów w Chełmnie nad Nerem, napisany 27 stycznia 1942 roku w getcie w Kutnie<sup>44</sup>***

Kutno, d. 27-I 42 J.

Kochani Moi!

Pisałam już do Was jedną pocztówkę o losie, jaki nas spotkał. Oto wywieziono nas do Chełmna i zagazowano. Leży już tam 25 000 Żydów. Rzeźnia nadal trwa. Czy nie ulitujecie się nad nami? Ja, Natan, dziecko i matka wyratowaliśmy się, więcej nikt. Co dalej z nami będzie, nie wiem, już nie mam sił do życia. Jeżeli ciocia Bronia napisze, to odpiszcie jej o wszystkim. Pozdrawiam Was serdecznie.

Fela

*Archiwum Ringelbluma, t. 1: Listy o Zagładzie, oprac. Ruta Sakowska, Warszawa 1997, s. 17–18.*

---

<sup>44</sup> Żydów z Kutna do obozu zagłady Kulmhof w Chełmnie nad Nerem deportowano 26 marca 1942 r.

***List Hindy do Szlamka w getcie warszawskim o poszukiwaniu przez policję niemiecką zbiegów z Chełmna, zagładzie rodziny i pogłównym podatku deportacyjnym, napisany 20 lutego 1942 roku w getcie w Radziejowie Kujawskim<sup>45</sup>***

Juda Radziejowski  
Radziejów  
Kreis Herbannsbad  
ul. Wołyńska 9 m. 1

An Frau  
Dwojra Sztatman  
Warszau

Kochany Szlamku!

Wyobraź Sobie radość naszą ujżenia pocztówki od ciebie, sądziłem że do nas nie napiszesz, pomimo wiedzieliśmy, że zrobiłeś łech, goście Cię szukali w sąsiednim miasteczku od nas, w Osięcinach, ale mogli Ci nagwizdać.

Otóż z naszej rodziny się została mama, Śmajus, Dawid, no i ja Hinda, Wójek Majer sam i Rafał z rodziną, tak to cała rodzina poszła tam, gdzie ty najlepiej wiesz...

Wyobraź Sobie naszą rozpacz, bardzo się cieszymy, żeś chociaż do nas napisał, z radości się rozplakaliśmy.

Wójek Majer i Rafał już wyjechali w stronę Piotrkowa Tryb., a ja z Dawidem mamy przepustkę w stronę Częstochowy, poradź, co mamy zrobić, czy może do Ciebie, możemy przerobić przep., czy mam mamę zabrać, czy nie umrze z głodu, tutaj na razie jest cicho. Tam gdzie ty byłeś już są te same podatki, co u nas, dobrze, że wyjechałeś, nie wiemy, co tutaj nastąpi.

Napisz Ci adres kuzyna naszego, idź do niego, poradź się z nim, ja też napiszę, nie wiem, co mam zrobić. Napisz nam o wszystkim duży list.

Idź do kuzyna, on pochodzi z Kalisza, poradź się z nim.

Z Częstochowy można jechać, gdzie się tylko chce.

Ch. Lewi Warszawa, Nalewki 18/18 albo Nowolipki nie pamiętam dokładnie.

Żegnam Cię, pozostaję  
twa kochająca Cię Hinda.

Ukłony od Dawida i R., Mamy i Śmajusia. Napisz o wszystkim.

*Archiwum Ringelbluma, t. 1: Listy o Zagładzie, oprac. Ruta Sakowska, Warszawa 1997, s. 121.*

---

<sup>45</sup> Deportacje z getta w Radziejowie Kujawskim do obozu zagłady Kulmhof w Chełmnie nad Nerem odbywały się 10 i 11 czerwca 1942 r. [W liście zachowano pisownię oryginału – przyp. red.].

## **List sióstr Rozy i Lusi do ojca Abrama Gipsa w getcie warszawskim o zbliżającej się zagładzie, napisany 3 marca 1942 roku w getcie w Gąbinie<sup>46</sup>**

An Herrn  
A. Gips  
Warschau  
Pawia 41/4

Najdrożsi i Najukochańsi moi!

Dziś otrzymaliśmy Waszą kartę i natychmiast śpieszę z odpowiedzią. Kochani! Choroba jeszcze trwa, niewiadomo tylko czy lekarstwo b. skuteczne. U naszego znajomego Żychliwskiego działy się okropne rzeczy. Sądzę, że doszły Was słuchy o tym wszystkim. Trudno, moi najdrożsi, błagam nie przejmujcie się, szanujcie zdrowie, może doprawdy stanie się cud i ocali Wasze dzieci.

Szanujcie zdrowie i piszcie często. Dlaczego K. ojczulek tak mało pisze. Anka i Aron wcale. Wasze kartki są dla nas prawdziwym ukojeniem. Kochani! Nic nie pomoże nasza orientacja, niema na to rady.

Pani Helenka otrzymuje częste wiadomości. Od swego brata, który robił dla niej starania. Poradź się z nim, chociaż on również nie wierzy w skuteczność tej sprawy.

Kochani! Jak smutno nam dzisiaj bez Was, a w zeszłym roku spędzaliśmy bidnie święto, ale przynajmniej razem z Wami.

Kochana Mateczko!! Nie przejmuj się, nie rób sobie żadnych wyrzutów. Widocznie tak być musiało, oby się tylko dobrze skończyło. Napiszcie, co u Was słychać, co porabiają Klajnbardowie, jak sobie radzą?

Serdeczne pozdrowienia dla wszystkich i od wszystkich znajomych. Całuję Was mocno.

Stęskniona Roza

Kochani i Najdrożsi Moi!

Kartka Wasza sprawiła nam wielką radość. Jesteśmy bardzo zdenerwowane i mamy wielkie zmartwienie i do tego zdaleka od Was. Trudno, tak musi być, wierzę w przeznaczenie. Co u Was słychać? Dlaczego Anka i Aron nie dopisują? Nie macie pojęcia, ile dla nas znaczy to żywe słowo od was. Bardzo tęsknimy za Wami i brak nam teraz tego ciepła rodzinnego i miłego słowa, które się tak rzadko słyszy od obcych, a nawet to jest wszystko fałszywe.

---

<sup>46</sup> Społeczność żydowską z Gąbina zgładzono w dniach 16–17 kwietnia 1942 r. [W liście zachowano pisownię oryginału – przyp. red.].

Siedzę teraz u Pani Wyrobkowej, jest godzina jedenasta wieczór. Siedzą też nasi kochani kuzynowie, od których słyszymy tyle miłych słów. Ja potrochu pracuję, ale mamy ostatnio wydatki. Co słyhać u Klajnbardów i co porabia Alinka.

Całuję Was i ściskam  
Lusia

*Archiwum Ringelbluma, t. 1, Listy o Zagładzie, oprac. Ruta Sakowska, Warszawa 1997, s. 69.*

***Listy sióstr Rozy i Lusi z Gąbina do ojca Abrama Gipsa w getcie warszawskim o zapłaceniu podatku deportacyjnego<sup>47</sup>, napisany 28 lutego 1942 roku w getcie w Gąbinie<sup>48</sup>***

An Herrn  
Gips  
Warschau  
Pawia 41/4  
Gąbin, 28 II-42

Najdrożsi i Najukochańszy!!!

Czyście otrzymali nasze dwie karty z 17 bm. i drugą z 21 bm.? Ogromnie się dziwię, że nie ma na to jeszcze odpowiedzi. Od Taffetów już odpisali. Abram Sztolcman więcej o wszystkim już wie. On prawdopodobnie robi starania legalnie w Krakowie dla siostry.

Kochany Ojczulku! Poinformuj się dokładnie. Markowa się chwali, że On dla niej i dla Dziuni również się stara. Ona poważnie myśli o tym.

Kochani! Jest może trochę odprężenia, czy na długo, nie wiem. Wyobraźcie sobie, że ja również musiałam wpłacić 8 m od głowy, zwolniono tylko Lusię. Zadłużona jestem po uszy i trudno mi wybrnąć. Pomyślcie, jak się tu zmieniło od czasu naszego przyjazdu. Nie sposób byłoby się utrzymać z naszej pensji. Starczy zaledwie na śniadania i kolacje. Lusia czasami – raz na 2 tygodnie – 10 m. Nie można się z tym liczyć. Dlatego wdzięczne jesteśmy tym, którzy nam obiady dają, gdyż to grunt. Lusia bidna ma gorzej odemnie, obiady o nieregularnej porze, w piątki i wieczorami, bidna często chodzi głodna. Jest b. wrażliwa, rozumiem, że Jej przykro. Ona tam jest przez Holcmana. On jest Twoim prawdziwym, szczerym przyjacielem. Ja się z nimi b. zżyłam. Kochani ludzie, pomagają wszystkim.

Kochana mateczko! Mam do ciebie prośbę, kup mi gęsty grzebyk, ale w dobrym gatunku. Można przesłać w liście. Tak przesłał Lichtenstein i Tadeusz. Jest to dla nas konieczne. Pracuję w takich okropnych warunkach higien., że muszę to koniecznie mieć.

Moja dolegliwość jest bez zmian, mimo że zeszczuplałam i wróciłam do mego normalnego wyglądu. Napiszcie wszyscy, odpowiedzcie na pytania. Serdeczne pozdrowienia dla wszystkich.

Całuję Was mocno  
Roza

---

<sup>47</sup> Pogłówny podatek deportacyjny był nakładany na Żydów jako opłata za transport. Był zapowiedzią zbliżającej się Zagłady.

<sup>48</sup> Społeczność żydowską z Gąbina zgładzono w dniach 16–17 kwietnia 1942 r. [W liście zachowano pisownię oryginału – przyp. red.].

Kochani i Najdrożsi moi! Dziwię się bardzo, że nie odpowiadacie na nasze ostatnie dwie kartki. Jesteśmy zdenerwowane, że tak mało interesujecie się nami. Chciałabym jak najszybciej zobaczyć się z Wami i osobiście o wszystkim pomówić.

Całuję Was  
Lusia

*Archiwum Ringelbluma, t. 1: Listy o Zagładzie, oprac. Ruta Sakowska, Warszawa 1997, s. 65–67.*



## **List Róży Kapłan do męża Szmuela w getcie warszawskim o transportach Żydów łódzkich do Chełmna nad Nerem, napisany 22 stycznia 1942 roku w getcie w Krośniewicach<sup>49</sup>**

M. Świącicki  
Krośniewice

An Herr  
R. Gelbart  
Warszawa  
ul. Nowolipie nr 28/18

Krośniewice dnia 21/1/1943 rk.

Mój kochany!

Aczkolwiek jeszcze nie mam od ciebie odpowiedzi, jednak piszę, bo jak już pisałam, postanowiłam codziennie pisać do Ciebie. Jak widzisz, jeszcze jestem na miejscu i jesteśmy zdrowi. Ale gdybyś na mnie spojrzął przed tygodniem, toby Ci serce rośnie z zadowolenia, tak dobrze wyglądałam.

Ta historia nas, zwłaszcza mnie, strasznie połamała, nie mogę pracować, całe dni płaczę, żal mi strasznie moich dzieci, poco ich rodziłam. Nie myśl, że to, co pisałam, jest bujdą. Ta procedura nie przestała. Codziennie przechodzą pełne wagony z Łodzi w ten sam kierunek. To u nas się zrobiło bardzo głośne, nie mogę ci opisać, co tu się dzieje, mimo że u nas jest spokojnie, oczekujemy każdą chwilę, nikt nie śpi po nocach. Tu gdzie była Kibla żona stało się to o 2 w nocy, stamtąd przyszedł jej brat.

Czy coś już robiłeś? Czy byłeś u Czerniakowa? Czy byłeś u Dr. Milejkowskiego, u Borensztajna? Alarmuj, może coś pomoże.

Wiem dobrze, że wiele działać nie będziesz mógł, piszę Ci tylko dlatego, ażebyś nie miał później wyrzutów.

Przyslij mi w liście dla Mońka dowód, bo tu u tych złodziejów w gminie nie mogę nic wydostać. Wiesz, on jest urodzony 1928 rk, 6 marca, tak ma być pisane, żeby było jak dowód tymczasowo.

Znowóż mnie gnębi myśl uciekania przed śmiercią, co będzie, niech będzie. Bądź mężny, a ja się też postaram uspokoić.

Całuję Cię mocno  
Różia

Ukłony dla Rywena.

*Archiwum Ringelbluma*, t. 1: *Listy o Zagładzie*, oprac. Ruta Sakowska, Warszawa 1997, s. 37 –39.

---

<sup>49</sup> Żydów z Krośniewic do obozu zagłady Kulmhof deportowano w dniu 2 marca 1942 r. Transport liczył 900 osób. [W liście zachowano pisownię oryginału – przyp. red.].

***List rodziny Gelbartów do Rywena Gelbarta w getcie warszawskim o mordowaniu Żydów w ośrodku zagłady w Chełmnie nad Nerem, napisany w styczniu 1942 roku w nieustalonej miejscowości (prawdopodobnie w GG)<sup>50</sup>***

Kochany Rywencie

Wczoraj otrzymaliśmy od Reginy straszną pocztówkę, w której nam pisze, że z tamtych okolic wysyłają ludzi do Chełmna i tam ich zagazują, tak że nikt już nie wraca z tamtąd. One także są w niebezpieczeństwie, gdyż już biorą ludzi z Kłodawy, i prosi abyśmy ją wyratowali.

A tu u nas nie ma żadnej rady. Tylko słyszeliśmy, że u was tam jest ktoś, który by ich mógł z tamtąd wyratować. A co będzie kosztowało, to my Ci wyślemy pieniądze, gdyż trzeba ją koniecznie wyratować.

Na ten załączony blankiet to myśmy już jej wysłali pieniądze. Szmulek pisał, że jakaś osoba przyjechała z tamtąd i oddała od Reginy ukłony. A więc dowiedzcie się, jakim sposobem przyjechała.

Róbcie co do rzeczy, gdyż czas jest krótki, już biorą ludzi z Kłodawy. Myśmy jej na to odpisali, ażeby się wydostała z tamtej granicy, to jej wyślemy człowieka po nich.

Co się tylko dowiecie lub co tylko zamierzcie zrobić, to natychmiast piszcie nam ekspresem, bo u nas w domu jest JomKipur od czasu otrzymania tej wiadomości.

Nie śpijcie! Bo gra rolę godzina w tym.

Pozostaje Twoja rodzina  
Gelbart

Podaję Ci adres tego warszawianina, z którym Ty przyjechałeś, jak chcesz, to możesz przez niego kilka słów do nas napisać, gdyż on będzie jutro we Warszawie.

*Archiwum Ringelbluma, t. 1: Listy o Zagładzie, oprac. Ruta Sakowska, Warszawa 1997, s. 19.*

---

<sup>50</sup> W liście zachowano pisownię oryginału – przyp. red.

## ***List rabina Jakuba Szulmana do krewnych w getcie warszawskim, donoszący o masowym mordowaniu Żydów, napisany 21 stycznia 1942 roku w getcie w Grabowie***

Z pomocą Boską.

Grabów, 21 stycznia 1942. Środa

Do moich kochanych i drogich krewnych!

Dziwi nas bardzo, że od dłuższego czasu do nas nie piszecie. Co u Was słyhać, co z dziećmi Milsztajna, Chanele Kenigsberg i z innymi? A teraz przekazujemy Wam wiadomość o straszliwych rzeczach, które się wydarzyły w pobliżu naszego miasteczka, a które do ostatnich dni były okryte tajemnicą, mianowicie: cztery tygodnie upłynęły już od chwili, gdy zabrano wszystkich, bez wyjątku Żydów z Koła – mężczyzn, kobiety i dzieci. Wywieziono ich wszystkich autami nie wiadomo gdzie. Potem to samo było w Dąbiu, Kłodawie, Izbicy i innych miasteczkach powiatu. Mimo usilnych starań, żeby się czegoś o ich losie dowiedzieć, nie zdobyliśmy o nich żadnej wiadomości. Dopiero w tym tygodniu zjawili się u nas zbierawcy, którzy stamtąd uciekli. Mówią oni, że wszystkich – oby to Was nie spotkało – tam się zabija, truje gazem i grzebie po 50–60 w jednym dole. Sprowadza się wciąż nowe i nowe ofiary, i to zagrożenie jeszcze nie minęło.

Wszystko to, rzecz jasna, wywołało wśród nas straszliwą panikę i nieopisaną przerażenie. Na dzień dzisiejszy, na trzeci dzień miesiąca szwat, ogłoszono post i zbiórkę w intencji ocalenia życia. Powinniście jednak wiedzieć, iż to, co się do tej pory działo po kryjomu, w tajemnicy, należy ogłosić wszem i wobec. Musicie alarmować, szukać bez wytchnienia jakiegoś wyjścia, jakiegoś sposobu ocalenia pozostałych Żydów przed – uchronaj Boże – śmiertelnym zagrożeniem. Nie wolno opuszczać rąk, nie wolno milczeć! Musicie uczynić wszystko, by ocalić życie tysięcy braci. Każda chwila się liczy! Jesteście przecież, oby tak dalej, jedną z największych gmin żydowskich.

Zapytajcie również uczonych w piśmie Izraela, czy krewni poległych muszą przestrzegać siedmiu dni żałoby i co mamy uczynić? Niech Bóg Wszechmogący zlituje się nad Żydami i uchroni przed Złem, niech w porę ześle ocalenie, tak żebyśmy dostąpili łaski otrzymania i przekazywania dobrych wieści! Proszę natychmiast odpisać. A co słyhać u Was? U nas – poza tym – nic nowego. Pozdrówcie wszystkich serdecznie. Oczekuję rychłej odpowiedzi.

*Archiwum Ringelbluma, t. 1: Listy o Zagładzie, oprac. Ruta Sakowska, Warszawa 1997, s. 4.*

## **Relacja Salomona Podchlebnika**

Podchlebnik Salomon, ur. 15 lutego 1907 r., Koło, ul. Berka Joselewicza 4  
Zeznanie: Lublin. 16 września 1944 r.

Kiedy Niemcy wkroczyli do Koła, odwołali od razu obywatelstwo żydowskie. Wydali rozkazy ubrać żółte opaski (znak hańby), zabronili chodzić Żydom po chodnikach, tylko musieli chodzić po jezdniach. Gdy Niemcy wkroczyli do Koła, 2 mosty były zerwane. Niemcy zgonili mężczyzn żydowskich do mostów, zaganiali ich do wody, która sięgała mężczyznom po szyję i kazali im wyciągać kamienie. Przy tej pracy bili Żydów bez litości, jeżdżąc sobie na kajakach od jednego do drugiego. Dużo Żydów utonęło przy tym.

Co 48 godzin brali zakładników w liczbie 6 mężczyzn żydowskich. U jednego z zakładników zrobiono rewizję i znaleziono jedną kulę, którą syn Sywosz przywiózł z Zaolzia, przy której wkroczeniu brał udział. Na kuli był napis „Zaolzie” i dokładna data wkroczenia wojsk polskich tamże. W tym czasie siedziało 24 zakładników żydowskich i polskich. Wyprowadzono wszystkich na Rynek za kinem, ustawiono ich wszystkich. Zakładnika Sywosza wyprowadziła eskorta niemiecka, złożona z 8 żołnierzy. Każdy był ubrany w hełm, karabiny trzymali w rękach. Dwóch szło na przodzie, dwóch za skazańcem, a po bokach też po dwóch. Na placu była przygotowana skrzynia, na którą wstawiono (wpakowano) skazańca. Padł rozkaz, na który wszyscy eskortujący wystrzelili do skazańca. Ten od razu się przewrócił. Przyjechała furmanka. Zabitego zabrano. Co dzień zbierali od 5 rano wszystkich mężczyzn, każdy z nich miał numer. Potrzebnych kierowali do różnych prac (czyścić klozety). Resztę ustawiali na każdej ulicy po kilku, w odległości metra od siebie i zamiatali ulice. Specjalna warta, jeżdżąca taksówką, biła Żydów. Kto wpadł im w oko, najeżdżali na niego autem. Ofiara zostawała ze złamanymi rękoma, nogami lub zupełnie nieżywa. Żydom nie wolno było niczego kupować na targu. Jedna Żydówka odważyła się kupić 2 kg masła na targu. *Volksdeutsch* ją złapał. Nałożono więc na Żydów kontrybucję w sumie 150 000 zł. I zabraniano Żydom chodzić po ulicy, później jak o 15 godzinie przez 2 tygodnie. Poprzednio chodzono do godz. 17.

### ***Pierwsze wysiedlenie***

1 grudnia dano rozkaz, by nikt nie opuszczał swojego mieszkania. Rozkazano w przeciągu 10 minut spakować ręczny bagaż. Zebrali ludzi, pod eskortą odstawili do bożnicy i kościołów. (W pierwszy dzień przyjscia spalili bożnice, wygonili Żydów i kazali im gasić je. Następnie wybrali jednego Żyda, kazali mu gonić naokoło i krzyczyć: „spaliłem bożnice”. W liczbie 2000, trzy dni byli zamknięci, następnie wyprowadzono ich do pociągów towarowych. Wywieźli ich do Izbicy nad Wieprz. Podróż trwała 4 dni. Z wagonów wychodzić nie było wolno. Nawet potrzeby fizjo-

logiczne załatwiano w wagonie. Kilka osób w wagonie zmarło. Kiedy zajechano na przeznaczone miejsce, zaczęto wyganiać z wagonów, przy których stali Niemcy i bili wszystkich pałkami. Dużo ludzi nie zdążyło nawet zabrać swojego bagażu, bo pod razami musieli uciekać. W Izbicy przydzielono po 6 osób do rodzin tam zamieszkałych. Następnie w styczniu 1940 r. zrobiono rejestrację mężczyzn od 15 do 35 lat i kobiet od 15 do 30 lat i przydzielono ich do obozu pracy w Poznańskim. Zaraz po tym zrobiono getto na Nowym Rynku, a pozostałych Żydów, tj. osoby starsze i dzieci tam umieszczono i mieszkali tam rok czasu. Getto było zamknięte, granicą tegoż był z jednej strony drut kolczasty, z drugiej granica naturalna, tj. rzeka Warta. Przy bramie getta wartowali Volksdeutsche. W getcie był Judenrat, który wykonywał ściśle wszystkie rozkazy Niemców. Prezesem Judenratu był Pinkus Brenner, który nie starał się pomóc Żydom, tylko na każdą żądaną sumę ofiar, miał reagować, odpowiadał „Jahow!”.

W 1942 r. został stworzony lager śmierci w Chełmnie, wieś między Kołem a Dąbiem. Na wypróbowanie wywieziono pozostałe w Kole kobiety i dzieci i Judenrat w specjalnym aucie (jako lepsi goście). W tymże roku zrobiono Judenrein w Kole. Ludność miejscowa pomagała Niemcom przy przeprowadzaniu akcji, przy tym rabowali i zabierali majątki żydowskie. Opowiadający następnie zamieszkał w Izbicy z żoną i dwojgiem dzieci. Za ciężką pracę zarabiali robotnicy co drugi dzień 2 kg chleba. W Izbicy koncentrowało się przeszło 30 000 Żydów z Holandii, Czechosłowacji, Belgii, Jugosławii, Słowacji. [...]

*Relacja Salomona Podchlebnika, „Miasteczko Poznań. Żydowskie pismo o małych ojczyznach”, nr 1 (8) 2011, s. 11–13.*

## ***Fragment zeznania Andrzeja Miszczaka, które zostało złożone 14 czerwca 1945 roku przed Sądem Okręgowym w Łodzi, w śledztwie prowadzonym przez sędziego Władysława Bednarza***

Jestem stałym mieszkańcem wsi Chełmno powiatu kolskiego. Dom mój położony jest naprzeciwko parku pałacowego (od strony rzeki Ner). W czasie, gdy jeszcze pałac, z okien mego domu widoczne były okna pałacu. Mam 5,5 ha ziemi i prowadzę gospodarstwo ogrodnicze. W połowie listopada 1941 r. i przyjechała do Chełmna grupa „gestapowców” z Langiem na czele. Jednocześnie przyjechał „landrat” kolski (nazwiska nie znam). Oglądano szczegółowo cały pałac – bardzo dokładnie piwnice. W końcu listopada zaczęto wozić materiały budowlane i przystąpiono do urządzenia obozu.

Teren pałacu ogrodzono szczelnie parkanem z desek wysokości około 2,5 metra. Jedynie od strony rzeki pozostawiono niewielki odcinek nie ogrodzony parkanem z desek. Odcinek ten zresztą był ogrodzony siatką drucianą. Pałac wznosił się na górze tak, że zbudowanie parkanu od strony rzeki, tj. u podnóża wspomnianego wzgórza nie miałyby wpływu na widoczność tego, co się dzieje na terenie podwórza pałacowego.

Poza pałacem zajęło Sonderkommando SS Kulmhof (tak bowiem nazywał się nowo przybyły oddział organizujący obóz) – plebanię, lokal starej gminy, remizę oraz domy gospodarzy wsi Chełmno. Właścicieli zajętych gospodarstw usunięto do innych wsi względnie rozlokowano po innych gospodarstwach. Początkowo nie wiedzieliśmy do czego ma służyć obóz.

Dopiero 9 grudnia 1941 r. nadjechał pierwszy transport samochodowy Żydów od strony Koła. W transporcie tym było 700 Żydów z Koła. Żydów przywieziono nad wieczorem – trzymano całą noc w pałacu, a z rana wywożono „ciemnymi” autami (które później nazwaliśmy „auta--piekła”) w stronę lasu chełmińskiego. Wspomniane auta wracały w stosunkowo krótkim czasie (w przybliżeniu po godzinie) i zabierały nowe transporty Żydów z pałacu. Zwracano uwagę, że na podwórzu zaczęły się piętrzyć stosy ubrań. Wieczorem nadszedł nowy transport, który po spędzeniu nocy w pałacu został również z rana wywieziony do lasu chełmińskiego. Powtarzało się to przez kilka dni.

*Mówią świadkowie Chełmna*, red. Łucja Pawlicka-Nowak, Konin – Łódź 2004, s. 133–134.

## ***Protokół z rozkopania terenu za spichlerzem, w ramach czynności śledztwa prowadzonego w sprawie zbrodni popełnionych w ośrodku zagłady w Chełmnie<sup>51</sup> (po wrześniu 1942)***

### Protokół

Chełmno nad Nerem pow. kolskiego. Sędzia śledczy Sądu Okręgowego w Łodzi W[ładysław] Bednarz przy współudziale funkcjonariusza M. O. Stanisława Grzanka i w obecności funkcjonariusza Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Stanisława Rosiaka vel Rosińskiego przeprowadził w dniach 12–19 i 21–27 września 1945 roku rozkopanie terenu znajdującego się za dawnym spichlerzem w ogrodzie dawnego pałacu w Chełmnie.

Na głębokości około 1,5 metra natrafiono na warstwę złożoną z rozmaitego rodzaju odpadków i spalonych przedmiotów, jak np. rondli, garnków, łyżek, noży, widelców, woreczków z żywnością itp. W czasie rozkopywania wspomnianej warstwy dokonano zdjęć fotograficznych za pośrednictwem fotografa Komendy Powiatowej M. O.

Wydobyto: około 24 200 łyżek, których wygląd wskazuje na to, że były one w ogniu, około 4500 par nożyczek, 2500 widelców i ponadto duże ilości noży, obcę[ów], maszynek do strzyżenia, okularów i wszelkiego rodzaju żelastwa. Niemal wszystkie wydobyte przedmioty wskazują swoim wyglądem na to, że były w ogniu. Łyżki, nożyce i widelce przeniesiono do znajdującego się w pobliżu domu Stanisława Opasa, gdzie je zabezpieczono. Pozostałe żelastwo zabezpieczono bezpośrednio na terenie parku. Znalezione ponadto przeważnie nadpalone papiery i dokumenty, które złożono do dwóch skrzyń i przewieziono do Sądu Grodzkiego w Kole, gdzie je zabezpieczono. Znalezione ponadto większą ilość monet, które również przewieziono do Sądu Grodzkiego w Kole i tam zabezpieczono. Ponadto wśród odpadków znaleziono następujące przedmioty, których wygląd zewnętrzny uzasadnia przypuszczenie, że są złote: 2 monety 15-rublowe, 25 monet 10-rublowych, 12 monet 5-rublowych, 3 monety 20-markowe, banknot 20-dolarowy pomarańczowo-szary nr K.85773279, banknot 10-dolarowy pomar[iańczowo-]szary. Banknot 10-dol[arowy] pomarańczowo-szary nr B. [?]30807187 [?], banknot 20-dol[arowy] szaro-zielony nr B.15715122A, banknot 5-dol[arowy] i 1-dol[arowy] szaro-zielone, 10 pierścionków, 4 obrączki, 6 zegarków złotych, w tym jeden z bransoletą, jeden zaś z łańcuszkiem, 1 broszka,

---

<sup>51</sup> Pierwsze polskie śledztwo w sprawie obozu śmierci Kulmhof w Chełmnie nad Nerem było prowadzone z ramienia Ministerstwa Sprawiedliwości od 6 czerwca 1945 r. przez sędziego Władysława Bednarza. W trakcie śledztwa zebrano dokumentację, relacje świadków. Na terenie poobozowym odkopano jamę śmietniskową, w której członkowie Sonderkommando palili rzeczy osobiste ofiar, dla nich bezwartościowe. Pozyskano w ten sposób m.in. przedmioty codziennego użytku, biżuterię, banknoty, które następnie zostały zdeponowane w banku w Łodzi. Sędzia Bednarz podjął także próbę zabezpieczenia terenu poobozowego w lesie rzuchowskim, prowadząc m.in. prace wykopaliskowe w jednej z mogił. W Kole zabezpieczono zniszczoną synagogę. Rezultaty śledztwa zostały opublikowane w pracy sędziego pt. Obóz straceń w Chełmnie nad Nerem, wydanej w Warszawie w 1946 r.

2 medaliony, kawałek złota wielkości monety 20-dolarowej, 3 korony dentystyczne, 3 mostki dentystyczne, blaszka, mostek (ew. platynowy), 2 pary kolczyków, jeden pojedynczy i kawałek prawdopodobnie kolczyka, kawałki pierścionka, kawałek złota w kształcie półksiężyca, kawałek łańcuszka.

Wymienione przedmioty przewieziono do Łodzi i zdeponowano w kasie Sądu Okręgowego za nr. 42/43 C. D. 108/45/46 i 45/45 C. D. 112/45/46/

Ponadto znaleziono szereg przedmiotów, co do których nie było pewności, czy są one złote. Przedmioty te przewieziono do Łodzi celem poddania ich badaniu przez eksperta.

Na tym protokół zakończono.

Sędzia Śledczy  
(podpis odręczny nieczytelny)

Stanisław Grzanka  
(podpis odręczny)

*Świadectwa Zagłady. Obóz w Chełmnie nad Nerem. Getto wiejskie Czachulec, wybór dok., wstęp i oprac. Ł. Pawlicka-Nowak, przy współpr. Jolanty Adamskiej, Gdańsk 2014, s. 350–351.*